Lwów, Niedziela dnia 23. Marca 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 8.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

HANIA.

Powieść

LITWOSA.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Po obiedzie przechodząc przez salon, spojrzałem w lustro. Rzeczywiście wyglądałem jak Piotrowin. Oczy miałem podsiniałe, twarz zapadłą. Wydało mi się, że zbrzydłem ogromnie, ale to teraz było mi już wszystko jedno.

Poszedłem szukać Ewuni. Obie siostrzyczki, które obiad jadały wcześniej od nas, były w ogrodzie, gdzie była urządzona gimnastyka dziecinna. Ewunia siedziała niedbale na drewnianym stolku, zawieszonym na czterech sznurach u poprzecznej belki huśtawki. Siedząc rozprawiała sama z sobą, potrząsając od czasu do czasu lokami swej złotej główki i przebierając nóżkami.

Ujrzawszy mnie uśmiechnęła się i wyciągnęła małe rączki. Wziąłem ją na ręce i poszedłem w głąb alei.

Potem siadłem na ławce i postawiwszy Ewunię przed sobą, spytałem:

— Cóż tam Ewunia dziś robiła cały dzień?

— Ewunia jeździła na spacel z męziem i z Hanią! — odpowiedziała przechwalając się dziewczynka.

Selima nazywała Ewunia swoim mężem.

— A czy Ewunia była grzeczna?

— Była.

— Ha! bo grzeczne dzieci, to zawsze przysłuchują się co starsi mówią i uważają, żeby się czegoś nauczyć. A czy Ewunia pamięta co Selim mówił z Hanią?

— Zapomniałam.

— Ej, może choć trochę Ewunia pamięta.

— Zapomniałam.

— Niegrzeczna jesteś! Niech Ewunia sobie zaraz przypomni, bo nie będę kochał Ewuni.

Dziewczynka zaczęła trzeć piąstką jedno oko, a drugiem załzawionem poglądała na mnie z pod czoła i nachmurzywszy się jakby do płaczu, z podkówką na ustach, odrzekła już drgającem od łez głosem:

— Zapomniałam.

Cóż mogło mi odpowiedzieć biedactwo? Doprawdy wydałem się sam sobie głupi, a zarazem wstyd mi się jakoś zrobiło mówić dwoistym językiem do tego niewinnego aniołka: o co innego pytać, czego innego chcieć się dowiedzieć. Przytem Ewunia była pieszczotą całego domu i moją, więc niechciałem ją udręczać. Ucałowałem ją tedy w buzię, pogłaskałem i puściłem. Dziewczynka pobiegła zaraz na huśtawkę, ja zaś odszedłem taki mądry jak i poprzednio, jeknakże z przekonaniem w duszy, że wyznanie między Selimem i Hanią już nastąpiło.

Nad wieczorem dnia tego Selim rzekł do mnie:

— Nie zobaczę cię przez tydzień—jadę.

— Gdzie? — spytałem obojętnie.

— Ojciec mi każe — odrzekł — odwiedzić stryja w Szumnej. Muszę tam zabawić z jaki tydzień.

Spojrzałem na Hanię. Wiadomość ta nie wywołała na jej twarzy żadnego wrażenia. Widocznie Selim mówił już z nią poprzednio.

Natomiast uśmiechnęła się i podniósłszy oczy od robótki patrzyła na Selima figlarnie trochę, trochę przekornie, potem zaś rzekła:

— A czy pan z wielką ochotą tam jedzie?

— Jak bryś na łańcuch! — odpowiedział szybko; ale pomiarkował się wczas i widząc, że pani d'Yves, która nieznosiła najmniejszej trywialności, krzywi się trochę, dodał:

— Przepraszam za wyrażenie. Ja stryja kocham, ale widzi pani... mnie tu... blisko... pani... d'Yves lepiej!

I mówiąc to rzucił romansowe spojrzenie na panią d'Yves, co pobudziło do śmiechu wszystkich nie wyjmując i pani d'Yves, która lubo obraźliwa, miała do Selima szczególniejszą słabość. Wzięła go jednak lekko za ucho i z dobrotliwym uśmiechem rzekła:

— Młody człowieku, mogłabym być twoją matką!

Selim pocałował ją w rękę i była zgoda, ja zaś pomyślałem sobie: jaka to jednak różnica między mną a Selimem! Gdybym tak ja posiadał wzajemność Hani, tobym tylko marzył i patrzył w niebo. Gdzieby mi tam było do żartów, a on i śmiał się i żartował i był wesoły, tak jakby nigdy nic.

Kiedy nawet promieniował ze szczęścia — czynił to zawsze wesoło.

Na samym odjeździe rzekł do mnie:

— Wiesz, co ci powiem: jedź ze mną!

— Nie pojadę. Nie mam wcale zamiaru.

Zimny ton tej odpowiedzi uderzył jakoś Selima.

— Dziwny ty się jakiś stałeś — odparł. — Nie poznaję cię od niejakiego czasu, ale...

— Dokończ.

— Ale zakochanym wszystko się wybacza.

— Z wyjątkiem, jeśli nam w drogę wchodzą! — odpowiedziałem głosem kamiennego Komandora.

Selim uderzył mnie przenikliwem spojrzeniem jak błyskawicą i sięgnął mi aż do dna duszy.

— Co ty mówisz?

— Mówię, że nie pojadę, a powtóre, że nie wszystko się przebacza!

Gdyby nie to, że przy tej rozmowie wszyscy byli obecni, Selim zapewne natychmiast

postawiłby jasno całą sprawę. Ja jednak nie chciałem jej stawić jasno, póki nie miałem pewniejszych dowodów. Widziałem jednak, że ostatnie moje słowa zaniepokoiły Selima, a strwożyły Hanię. Pokręcił się jeszcze chwilę zwlócząc odjazd pod błahemi pozorami, a potem upatrzywszy chwilę, rzekł do mnie z cicha:

— Siądź na koń i odprowadź mnie. Chcę z tobą pomówić.

— Innym razem — odpowiedziałem głośno. — Dziś czuję się trochę słaby.

IX.

Selim istotnie odjechał do stryja, i bawił tam nie tydzień, ale dni dziesięć. Smutno płynęły nam te dni w Litwinowie. Hania zdawała się mnie unikać i poglądała na mnie jakby z tajoną obawą. Nie miałem wprawdzie zamiaru rozmawiać z nią szczerze o niczem, bo pętała mi słowa na ustach duma, ale ona, nie wiem już dlaczego, urządzała tak sprawy umyślnie, że nie byliśmy ani przez chwilę sam na sam. Zresztą tęskniła widocznie. Zmizerniała aż i schudła — a ja ze drżeniem patrząc na jej tęsknotę, myślałem: więc to nie kaprys dziewczęcy przelotny, ale na nieszczęście uczucie prawdziwe i głębokie! Sam zresztą byłem rozdrażniony, chmurny i smutny. Napróżno ojciec, ksiądz i pani d'Yves wypytywały się co mi jest? czym nie chory? Odpowiadałem przecząco, a troskliwość ich drażniła mnie tylko. Dnie całe spędzałem samotnie, na koniu, to w lasach, to w szuwarach na łodzi. Żyłem jak dziki człowiek. Raz całą noc przepędziłem w lesie ze strzelbą i psem przy ognisku, które rozniecıłem umyślnie. Czasem po pół dnia spędzałem z owczarzem naszym, który był znachorem — a zdziczały przez ciągłą samotność, zbierał wiecznie różne zioła, badał ich własności i mnie wtajemniczał w świat fantastyczny guseł i przesądów. Doprawdy, czyby kto uwierzył!? ale były chwile, że tęskniłem za Selimem i za mojemi „kołami udręczeń“ — jak je zwykle nazywałem.

Raz przyszła mi na myśl odwiedzić starego Mirzę w Chorzelach. Stary ujęty tem, że odwiedzam go dla niego samego, przyjął mnie z otwartemi rękoma. Ale ja w innym tam przybyłem celu. Ot przyszło mi na myśl popatrzeć w oczy portretowi owego strasznego Mirzy pułkownika petyhorców, z czasów Sobieskiego. I gdym patrzył w te złowrogie oczy zwracające się wszędzie za człowiekiem, przyszli mi na myśl moi właśni dziadowie, których konterfekty wisiały w sali bawialnej u nas; również surowi, żelaźni

Umysł mój pod wpływem podobnych wrażeń doszedł do stanu dziwnej egzaltacji. Samotność, cisza nocna, życie z naturą, wszystko to powinno było podziałać na mnie uspokajająco; ale ja nosiłem w sobie niby zatruty postrzał. Chwilami oddawałem się marzeniom, które ten stan jeszcze pogorszały. Nieraz leżąc w jakim zapadłym kącie boru lub na łodzi w szuwarach, wyobrażałem sobie, że jestem w pokoiku Hani przy jej nogach, że całuję jej stopy, ręce i sukienkę, że nazywam ją najbardziej pieszczonemi imionami, a ona kładzie mi swoje ubóstwiane dłonie na rozpalone czoło i mówi: — „Nacierpiałeś się już dosyć — zapomnijmy o wszystkiem! to był przykry sen! Ja ciebie kocham, Henryku!“ — Ale potem następowało przebudzenie i ta szara rzeczywistość, ta posępna jak chmurny dzień moja przyszłość, wiecznie bez Niej, aż do końca życia bez Niej — wydawała mi się tem straszniejszą. Dziczałem więc coraz więcej: unikałem ludzi: nawet ojca, księdza Ludwika i pani d'Yves. Kazio ze swoją gadatliwością chłopca-podlotka, ze swoją ciekawością, wiecznym śmiechem i wiecznemi psotami, uprzykrzał mi się do ostatka. A jednak oni poczciwi starali się mnie rozerwać i cierpieli po cichu nad moim stanem, nie umiejąc go sobie wytłómaczyć. Hania, czy się domyślała czegoś, czy nie, boć miała silne powody wierzyć, że kocham się w Loli Ustrzyckiej, robiła co mogła, żeby mnie pocieszyć. Byłem jednak tak cierpki nawet i dla niej, że nie mogła pozbyć się pewnej obawy mówiąc do mnie. Ojciec, sam ojciec zwykle surowy i bezwzględny, próbował mnie rozerwać i zainteresować czemkolwiek, a przytem i zbadać. Niejednokrotnie zaczynał ze mną rozmowy, które, jak sądził, powinny były mnie zająć, Pewnego dnia po obiedzie, wyszedł ze mną na dziedziniec i rzekł, patrząc na mnie badawczo:

— Czy tobie się czasem nie zdaje jedna rzecz? Chciałem cię o to już dawno spytać: czy tobie się nie zdaje, że Selim trochę zanadto kręci się koło Hani.

Poprostu rzeczy sądząc, powinienem się był zmięszać i dać się złapać, jak to mówią, na gorącym uczynku. Ale byłem w takim nastroju, że ani jednem drgnieniem nie zdradziłem wrażenia, jakie uczyniły na mnie słowa ojca i odrzekłem spokojnie:

— Nie. Wiem, że tak nie jest...

Ubodło mnie że ojciec brał udział w tych sprawach. Sądziłem, że ponieważ tu o mnie tylko chodzi, a więc ja tylko będę rozstrzygał.

— Czy ręczysz za to? — spytał ojciec.

— Ręczę. Selim kocha się w Warszawie, w jakiejś tam pensjonarce.

— Bo widzisz, jesteś przecie opiekunem Hani i powinieneś nad nią czuwać.

Wiedziałem, że poczciwy ojciec mówił to tylko dlatego, żeby pobudziwszy moją miłość własną, zająć czemś i wyrwać moje myśli z tego ponurego kręgu, w którym zdawały się obracać; ale odpowiedziałem, jakby na przekór, obojętnie i ponuro:

— Co ja tam jestem za opiekunem. Ojca nie było — więc stary Mikołaj mnie ją zostawił, ale prawdziwym opiekunem nie ja jestem.

Ojciec zmarszczył się; widząc jednak, że tym sposobem nie trafi ze mną do ładu, wziął się na inny. Uśmiechnął się pod siwym wąsem; przymrużył po żołniersku jedno oko, wziął mnie z lekka za ucho i niby poufale, niby drażniąc się spytał:

— A może tobie Hania zawróciła głowę? gadaj chłopcze — co?

— Hania? Ani trochę. A toby było zabawne!

Kłamałem, jak najęty, ale szło mi gładziej, niżem się spodziewał.

— To może Lola Ustrzycka? — co?

— Lola Ustrzycka, kokietka!

Ojciec zniecierpliwił się.

— To czegóż u licha! jeśli się nie kochasz, łazisz jak rekrut po pierwszej musztrze?

— Czy ja wiem. Nic mi nie jest.

Ale podobne badania, jakich przez troskliwość nie szczędzili mi, ani ojciec, ani ksiądz Ludwik, ani nawet pani d'Yves, męczyły mnie i niecierpliwiły coraz bardziej. Wreszcie, stosunki moje z nimi zaczęły być przykre. Unosiłem i gniewałem się o lada co. Ksiądz Ludwik widział w tem pewne rysy wybijającego się na wierzch z wiekiem despotycznego charakteru, i spoglądając na ojca uśmiechał się znacząco i mówił: „Rodem kurki czubate!“ Ale z tem wszystkiem brakło i jemu czasem cierpliwości. Między ojcem i mną przyszło kilkakrotnie do zajść bardzo przykrych. Raz nawet, przy obiedzie, gdy w dyspucie o szlachetczyznę i demokrację, uniosłem się do tego stopnia, że oświadczyłem, iż wolałbym sto razy nie rodzić się szlachcicem, ojciec kazał mi wyjść z pokoju. Kobiety poplakały się skutkiem tego, i cały dom chodził przez dwa dni skwaszony. Co do mnie: nie byłem wówczas ani arystokratą, ani demokratą, byłem tylko rozkochany i nieszczęśliwy. Na zasady, teorje i socjalne przekonania nie było we mnie wcale miejsca, a jeżelim bojował w imię jednych przeciw drugim, czyniłem to tylko z rozdrażnienia, na złość, niewiadomo komu i dlaczego, tak samo, jak na złość wdawałem się z księdzem Ludwikiem w dysputy religijne, które kończyliśmy trzaskając drzwiami. Jednem słowem, zatrułem życie, nie tylko sobie, ale i całemu domowi; to też gdy Selim wrócił wreszcie po dziesięciodniowej nieobecności, wszystkim jakby kamień spadł z piersi. Kiedy przyjechał do nas, mnie nie było w domu, bo tłukłem się na koniu po okolicy. Wróciłem do domu dopiero nad wieczorem i zajechałem wprost na dziedziniec folwarczny, gdzie zaraz chłopak stajenny, odbierając odemnie konia, rzekł: „Panicz z Chorzel przyjechał“. W tej chwili nadbiegł i Kazio, i powtórzył mi tę wiadomość.

— Wiem już o tem — odpowiedziałem mu szorstko. — Gdzie jest Selim?

— Zdaje mi się, że w ogrodzie, z Hanią. Pójdę go poszukam.

Poszliśmy obaj do ogrodu, ale Kazio pobiegł naprzód, ja zaś szedłem zwolna, za nim, umyślnie nie spiesząc się z powitaniem.

Nie uszedłem jeszcze pięćdziesięciu kroków, gdy na skręcie alei znowu ujrzałem wracającego pospiesznie Kazia.

Kazio, który był wielki pajac i trefniś, zdaleka już zaczął wyrabiać dziwne jakieś miny i giesta, jak małpka, był przytem czerwony, palce trzymał na ustach i śmiał się, tłumiąc jednocześnie śmiech. Zbliżywszy się do mnie, zawołał z cicha:

— Henryk! Hi! hi! hi! Tsss!

— Co ty wyrabiasz? — zawołałem niechętnie.

— Tsss! Jak mamę kocham! hi! hi! Selim klęczy przed Hanią w chmielowej altance, jak mamę kocham!

Porwałem go natychmiast za ramiona i wpiłem w nie palce.

— Milcz! Zostań tu! Ani słowa nikomu, rozumiesz! Zostań tu, ja sam pójdę — ale milcz! ani słowa przed nikim, jeśli ci życie moje miłe!

Kazio, który z początku całą rzecz brał ze strony humorystycznej, widząc trupią bladość, jaka pokryła mi twarz, przeraził się widocznie i pozostał na miejscu z otwartemi ustami, ja zaś pobiegłem jak szalony, w kierunku chmielowej altany.

Przeczołgnąwszy się szybko i cicho, jak wąż, między krzakami berberysu, które otaczały altankę, dotarłem do samej jej ściany. Ściany zbudowane były w kratkę z cienkich bierwionek, mogłem więc i widzieć i słyszeć wszystko. Wstrętna rola podsłuchującego nie wydała mi się wcale wstrętną. Delikatnie rozsunąłem liście i nadstawiłem ucha:

— Ktoś tu jest blisko! — doszedł mnie cichy, przytłumiony szept Hani.

— Nie! To liście poruszają się na gałązkach — odpowiedział Selim.

Spojrzałem na nich przez zielone obsłonki liści. Selim nie klęczał już przy Hani, ale siedział przy niej na nizkiej ławeczce. Ona była blada, jak płótno, oczy miała zamknięte, głowę pochyloną i opartą na jego ramieniu, on ręką obejmował ją wpół i tulił do siebie z miłością i rozkoszą.

— Kocham, Haniu. Kocham! kocham! — powtarzał, szepcząc namiętnie i pochyliwszy głowę, gonił ustami jej usta — ona zaś cofała się, jakby broniąc pocałunku, ale mimo to, usta ich spotkały się, zawarły i pozostały tak połączone, przyciśnięte jedne drugiemi, długo, długo— ach! mnie się zdało: że wieki całe. (C. d. n.)

ZUŻYTKOWANIE
PROMIENI SŁOŃCA.

przez

B. ABAKANOWICZA.

(Dokończenie).

Większa część przyrządów słonecznych wystawionych przez Mouchota, była tylko modelami, albo aparatami służącymi do domowego podręcznego użytku.

I tak np. jeden z przyrządów przeznaczonym był do gotowania kawy. Żwierciadło stożkowe miało około pół metra średnicy u swego rozwartego końca, a kociołek zawierał około jednego litra wody. Gdy się kociołek, pusty, bez wody, wystawiło wewnątrz aparatu, na słońce tylko przez pół minuty, to już temperatura tak się znacznie podniosła, że go do rąk wziąć nie można było. Wewnętrzna część kociołka urządzoną była, jak w zwykłych maszynkach do kawy. Gdy woda zaczęła się gotować, para wypychała ją przez miałką kawę, na zewnątrz do osobnego zbiornika. Na zagotowanie litra kawy potrzeba było, w pogodny dzień, pół godziny czasu.

Inny, mniejszych jeszcze rozmiarów aparacik, służył do smażenia mięsa, które się nadziewało w stanie surowem na ostrze i wstawiało do środka cylindra. Po dziesięciu minutach był byfsztyk gotowy. Pan Mouchot, bardzo miły i uprzejmy staruszek, dał mi kiedyś pokosztować tak przygotowanego mięsa. Muszę jednak przyznać, że kuchnia słoneczna nie należy do wykwintnych i mięso miało jakiś smak nieprzyjemny. Widocznie pod wpływem silnie działających promieni słońca, zaszła na jego powierzchni jakaś chemiczna zmiana.

Podczas bardzo często powtarzanych prób z machiną słoneczną w Algierze, zrobił Mouchot kilka interesujących spostrzeżeń, które wykazują wpływ stanu meteorologicznego atmosfery na szybkość działania jego aparatu. Zdarzało mu się niejednokrotnie, że na wyżynach, nieraz podczas bardzo chłodnych poranków, woda zaczęła dalekô szybciej kipieć, aniżeli w samo południe na rozpalonych piaskach Sahary. Jest to zjawisko analogiczne z tem, które się spotyka i u nas w Europie, wędrując po szczytach gór pokrytych śniegiem. Nieraz brnie się w śniegu po kolana, a głowę i plecy razi duszący i przygnębiający upał. A tymczasem, chociaż śniegu tak wiele w około, nie masz wody do picia. Przewodnicy biorą się wtedy na sposób oddawna znany i przykładają śnieg do rozgrzanych ścian skały.

Na równinach Sahary zdarzało się nieraz Mouchotowi, iż podczas chłodnych ranków, tuż po wejściu słońca, maszyny jego o parę minut szybciej funkcjonowały, aniżeli w samo południe, kiedy żwierciadło trzeba było zwracać prawie wprost do góry, ku stojącemu w bliskości zenitu słońcu.

Przyrządy, które wyżej opisaliśmy, należą do najmniejszych i widząc tylko je same, nie można jeszcze byłoby wydać sądu, że i na wielką skalę będą one funkcjonować. To też Mouchot chciał tego roku rozstrzygnąć ostatecznie tę kwestją i zbudował wielką machinę, noszącą kocioł parowy, która pod sam koniec trwania wystawy była ustawioną i zregulowaną.

Zwierciadło miało cztery metry w otworze i z wszystkich punktów wystawy można było widzieć jego błyszczącą powierzchnię. Złożonem zostało ono z arkuszów blachy żelaznej, posrebrzonej i wyszlifowanej do połysku. Ponieważ żwierciadło wystawiało wielką powierzchnię na działanie wiatru, więc trzeba je było dobrze zesztywnić i trwałą dać podstawę. Tutaj leżała właśnie dość znaczna trudność, bo ta podstawa oprócz trwałości, musiała jeszcze odpowiadać i warunkowi ruchomości. Trzeba bowiem żwierciadło zwracać ku przesuwającemu się po niebie słońcu. W tym celu umocowanem jest ono na dwóch osiach jednej pionowej a drugiej poziomej, i za pomocą korby z wielką łatwością można je w każdem położeniu ustawiać. W osi żwierciadła znajduje sie parę metrów długi kocioł parowy, złożony z wiązki rur żelaznych poczernionych na zewnętrznej stronie. Otoczonym on jest szklannym cylindrem odlanym z jednej sztuki. Po nad nim, w górnej części wystają klapy bezpieczeństwa. U dolnej strony znajduje się manometr i inne części potrzebne do manipulacji każdego kotła parowego. Całość tej machiny wygląda dziwnie i oryginalnie, szczególniej gdy się widzi, jak bez ognia, z kotła dobywa się gwiżdżąc para, lub pchnąc tłoki pompy parowej, podnosi do góry wodę, albo co jeszcze bardziej jest uderzającem, lód fabrykuje. To też podczas funkcjonowania, tłumy ludu otaczały wzgórek, na którym stał wielki aparat Mouchota. Wynalazca aż do chwili wyjazdu do Algieru, bardzo mało popierany i prawie ignorowany, jest obecnie przedmiotem ogólnych owacji.

Jaką jest przyszłość machiny słonecznej, o tem jeszcze teraz mówić nie można. Mouchot obiecuje sobie po niej bardzo wiele, jak zwykle każdy wynalazca, lecz czy się jego oczekiwania sprawdzą, rozstrzygnie doświadczenie kilkoletnie.

Oto niektóre zastosowania w przyszłości, o których mi sam opowiadał, a które według jego słów tutaj oddaję.

Machina słoneczna ma być przedewszystkiem pożyteczną tam, gdzie w czasie kiedy słońce silnie bardzo działa, można zebrać znaczny zapas jego siły i przechować na później. Objaśnimy to przykładem. Algier naprzykład ma wyborne rudy, lecz nie ma dość paliwa, by z nich metale dobywać. Mouchot chce fabrykować za pomocą słońca nowy rodzaj paliwa. Umieszcza on, w osi żwierciadła wielki stos termoelektryczny, dający znaczną ilość elektrycznego prądu przy silnem nagrzewaniu. Otóż wiadomą jest rzeczą, że prąd elektryczny rozkłada wodę na pierwiastki, z których jest chemicznie złożoną: na tlen i na wodór. Jeżeli oba druty idące od biegunów stosu zanurzymy do wody i umieścimy je pod kloszami, to powoli w jednym z nich zbierze się wodor a w drugim tlen. Mouchot chce podczas sprzyjającej pogody wywiązywać te gazy w wielkiej ilości, a następnie używać je do opału. Mieszanina tych gazów, zapalona wybucha, łączą się one chemicznie i powstaje napowrót woda. Lecz przy tem połączeniu wywiązuje się wielka ilość ciepła. Można zbudować ogniska hutnicze, które byłyby opalane temi gazami.

W przykładzie wyżej przytoczonym mamy piękny przykład zamiany sił fizycznych, jednych na drugie, przykład owego wielkiego kołowrotu sił, który się bez przerwy w naturze odbywa. Siła ciepłych promieni słonecznych padając na stos termoelektryczny, zamienia się na prąd elektryczny. Ten zużywa się na rozkład wody. Z kolei rzeczy ciepło, biorące w słońcu źródło wydobywa się napowrót podczas połączenia chemicznego obu gazów i służy dalej do rozkładu chemicznego rudy. W przypadku tym mamy sposób skoncentrowania promieni słonecznych do bardzo wysokiej temperatury. Naprzód te promienie, które padają na powierzchnię żwierciadła skupiają się na stosie, a potem, w dalszym szeregu, przy połączeniu gazów, znajdujemy wielką ilość nagromadzoną w postaci utajonej, która się pojawia przy zapaleniu, i którą można w dowolnym czasie i w dowolnem miejscu zużytkować.

Lecz niejednokrotnie nie potrzeba tak wielkiego skupienia. I tak np. do wypalenia gipsu, potrzebną jest temperatura około 120 stop. Można więc tę przeróbkę uskutecznić umieszczając gips wprost w środkowym cylindrze.

Innem zastosowaniem, którego przykłady oglądać można było na wystawie paryzkiej, była destylacja. Urządzenie w tym wypadku jest bardzo proste. Dość wprost, w zbiorniku przeprowadzić rurę do oziębiającego parę kondensatora.

Fabrykacja lodu jest może najbardziej uderzającym przykładem. Maszyn do zamrażania sztucznego, jest obecnie bardzo wiele systemów, a większa część z nich opiera się na użyciu płynów szybko ulatniających się, które zamieniając się w parę, pochłaniają wielką ilość ciepła i wytwarzają tą drogą zimno potrzebne do zamrożenia wody. Zamiast użycia ognia, można przy machinach Mouchota użyć bezpośrednich promieni słońca. Otrzymamy w tym przypadku rezultat brzmiący parodoksalnie, że im bliżej równika, im gorętszy jest klimat, tem łatwiejszą jest fabrykacja lodu na wskazanej drodze.

Nie mniej ważnem i bardzo prostem zastosowaniem byłoby proponowane przez Pasteura, konserwowanie wina za pomocą ciepła. Wiele krajów południowych posiada wyborne gatunki

win, które jednak posiadają tę wielką wadę, iż łatwo się psują, szczególnie przy transporcie, i dlatego też eksport ich jest prawie niemożliwym. Psucie się to, jak badania mikroskopowe wykazały, powstaje przeważnie ztąd, iz w płynie rozradzają się nadzwyczaj drobne organizmy, towarzyszące wszelkiemu gniciu. Otóż jeżeli wino nagrzeje się do dość znacznej temperatury, w której te organizmy i ich zarodki niszczą się i następnie zamknie się szczelnie w butelkach, to psucie się z wielką trudnością następuje. Ponieważ w Algierze, a szczególniej w niektórych prowincjach, słońce przez cały niemal rok jasno świeci na niebie, więc machiny Mouchota dadzą w rękę sposób Pasteurowskiego preparowania wina, bez żadnych prawie kosztów.

Machiny słoneczne, mają w gorących krajach przyszłość zapewnioną. Główną ich zaletą, jest to, że pędzenie bardzo mało kosztuje i jeden robotnik obsłużyć może kilka lub nawet więcej wielkich przyrządów. Całem jego zajęciem przechodzić od jednej machiny do drugiej i pokręcać korbą, tak, żeby zwierciadła zawsze ku słońcu były zwróconemi. Same aparaty nie kosztują zbyt wiele, bo robota ich prosta, a zwierciadła nie potrzebują być dokładnie szlifowanemi.

AWANTURNICZA WYPRAWA DO CHIWY

BURNABY'EGO
KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

VII.

(Ciąg dalszy).

Początek Jeni-Darji należy do kwestyj nierozstrzygniętych w geografji. Jedni twierdzą, że powstawała ona z wód ściekających z pasma gór Kukutli, przecinających step Kizilkumski z zachodu na wschód stanowiących graniczną linją pomiędzy porzeczem tej rzeki a porzeczem Amu-Darji. Inni utrzymują, że Jeni-Darja nie była nigdy samodzielną rzeką a tylko ramieniem Syr-Darji, odzielającem się od głównego pnia na paręset mil przed ujściem jego do Aralskiego morza i zmierzającem do niego krótszą drogą. Za zdaniem drugich przemawiają ślady suchych łożysk wijących się w rozmaitych kierunkach, jakby sieć jaka, i łączących Syr-Darją z Jeni-Darją; za zdaniem zaś pierwszych ten fakt, że i dzisiaj jeszcze skąpe i płytkie swe wody czerpie Jeni-Darja ze stoków gór Kukutli.

Owoż nad brzegami tej rzeki rozsiadły się osady Kirgizów. Osady te podobne są do tych obozów, jakie rozbija wojsko na ćwiczeniach letnich. Nie są to bowiem wsie złożone z chałup ale malowniczo na płaszczyźnie rozrzucone kibitki, podobne do namiotów. W zimie dokoła tych kibitek wznoszą się zagrody, w których utrzymywane są barany; w lecie zaś barany ruszają w step pod dozorem synów właściciela kibitki i jego mezkiej służby; podczas gdy niewiasty pozostają w kibitce, przędą odzież z wełny, podobną do kaszmirów indyjskich, tkają dywany, wielce do perskich zbliżone, a nawet, gdy lato nie jest zbyt suche, trudnią się ogrodnictwem, zwłaszcza hodowlą melonów. Bo po kobiecie i baranie melon jest pierwszą rzeczą dla Kirgiza ze wszystkich innych tworów przyrody i z pewnością w jego życiu większą rolę odgrywa niż tulipan w życiu Holendra. Że w tej mierze dobry gust mają Kirgizi, i niewątpliwie lepszy niż Holendrzy, na to przystanie każdy... gastronom. Nabierze zaś do nich jeszcze większej sympatji gdy się dowie, do jakiej doskonałości doprowadzili oni chów melonów. Żeby choć w części dać o tem wyobrażenie, dość powiedzieć, że tak zdaniem Burnabyego jak i nawet zdaniem samych Moskali, nasze europejskie melony mają się tak do kirgizkich i chiwańskich jak ogórki do naszych melonów.

Porównanie to nie kuleje tak dalece jak wszystkie w ogóle porównania. Wiadomo bowiem, że botanicy zaliczają melony do grupy roślin dynionośnych, *Peponiferae*, których typową postacią jest nasz ogórek. Owoż niektórzy botanicy, z falangi zwłaszcza darwinistów, twierdzą, że ogórek jest bratem stryjecznym czy wujecznym melona, albowiem—utrzymują—pochodzi od tej samej co melon formy organicznej. Jeżeli to prawda, natenczas między jedną a drugą rośliną jest pewne pokrewieństwo, na tyle bliskie, aby gastronomom wolno było smak ich porównywać nawzajem. Uzasadniwszy, mówiąc językiem filozoficznym, objektywną podstawę porównania, wypada jeszcze zapytać, jak dalece jest pewną subjektywna jego podstawa. Ale w tej mierze sąd jest o wiele trudniejszy, gdyż żaden z podróżników nie był na tyle praktycznym, aby wracając z Chiwy przywieźć ze sobą choćby wóz tych rajskich melonów. Twierdzą oni tylko, że istnieje ich niemal sto gatunków, że mają mięso nieskończenie delikatne, smakiem do ananasów zbliżone, a że rozmiarami przewyższają największe podolskie dynie. Bywają melony po 40 i 50 funtów, dwudziesto zaś funtowe zaliczają się do maleńkich melonów.

Ale zagadawszy się o melonach odbiegliśmy zanadto od Kizilkumskiego stepu, który rodzi tak cudowne owoce, i od jego mieszkańców, którzy je spożywają, nie troszcząc się bynajmniej o europejskich gastronomów. Wróćmy więc do stepu, dla którego czytelnik odczuwa teraz niewątpliwie daleko więcej sympatji, odkąd wie, że gdyby zrządzeniem losu został nań rzucony, to mógłby żyć nie samą tylko zieloną herbatą przyprawioną z szafranem i baranim łojem.

Oprócz Jeni-Darji przecina jeszcze kizilkumski step kilka mniejszych rzek, jak Jani-Su, Julkun-Darja i inne, które czerpią swe wody z tego samego pasma gór Kukutli i z niewielkich wzgórzy zwanych Sultan-Dagh, a spływają do wspólnego zbiornika wód całej tej Turkiestańskiej wyżyny, do Aralskiego morza. Wszystkie te rzeki, zarówno jak i Jeni-Darja nie są stałe, niezawsze mają wodę; bywają perjody tak silnej posuchy, że łożyska ich wysychają zupełnie, a wtedy naturalnie roślinność ginie doszczętnie, ludzie zaś i zwierzęta w połowie wymierają na rozmaite dżumy i tyfusy, w połowie zaś wynoszą się nad brzegi Amu-Darji, Syr-Darji lub Aralskiego morza. Potem nadchodzi perjod deszczów, roślinność odżywa a ludzie wracają do swych opuszczonych siedzib.

Opisaliśmy tutaj dość szczegółowo zachodnią część Kizilkumskiego stepu, to jest tę, która przytyka do morza Aralskiego i w której od biedy, „z przeszkodami,“ można żyć jeszcze jako tako, a nawet hodować smaczne melony. Natomiast środkowa i wschodnia część Kizilkumu jest już pustynią w całem znaczeniu tego słowa, przynajmniej tak ją nam przedstawiają Moskale. Czy prawdę mówią, czy też powodują się w tej mierze względami politycznemi i chcąc odjąć wartości swoim zaborom, spotwarzają step tak samo jak spotwarzają Chana Chiwy; — jest to pytanie, które rozstrzygną dopiero przyszli geografowie. Według zaś dzisiejszej nauki geograficznej, nie przecina na mapie (jedynej jaka istnieje) Luzilina, pułkownika jen. sztabu moskiewskiego, żadna rzeka wschodniej i środkowej połaci Kizilkumskiego stepu, nie ma zgoła nigdzie żadnych osad ludzkich, a tylko tu i ówdzie wytknięte są drogi karawanowe i na nich oznaczone cysterny z dopisami takiemi: „woda gorzka ale zdatna do picia,“ „woda gorzka, dobra jedynie dla bydła,“ „woda słodka ale niezawsze bywa,“ etc. I cystern tych bardzo niewiele. Mimo to miljony baranów żyje na tym stepie i dostarcza pożywienia najmniej jakim kilkudziesięciu tysiącom ludzi. Widocznie więc nie bardzo są prawdziwe relacje p. Luzilina.

Opisywać peregrynacje Burnabyego wzdłuż zachodniej połaci Kizilkumskiego stepu byłoby rzeczą zbyteczną, jakkolwiek on sam uważał za właściwe każdy popas i nocleg uwiecznić wzmianką, powodując się w tej mierze tem samem egotystycznem (nie egoistycznem, bo to coś więcej od egoizmu) uczuciem, które skłania podróżnych do wypisywania swego nazwiska na murach, drzewach, skałach, słowem na przedmiotach, które równie jak papier są cierpliwie, a bardziej od niego trwałe. Ale jeżeli zwyczajem literatów nie balibyśmy się nawet nadużyc cierpliwości papieru, to natomiast nie mamy odwagi wystawiać na próbę cierpliwości czytelnika i dla tego wprost ze sfery geograficznej przechodzimy w dramatyczną sferę, w sferę stosunków Burnabyego do spotykanych po drodze ludzi.

Zaraz bowiem na wstępie, na pierwszym popasie, nastąpiło takie spotkanie. Miało się już ku zachodowi słońca kiedy Burnaby uznał za właściwe dać odpoczynek swojej karawanie, powodując się w tej mierze tem empirycznem prawem, znanem przez wszystkich podróżników, że wielbłądy najspieszniej podróżują w nocy, zwłaszcza jeżeli przed pół nocą dobrze odpoczną. Zdecydował tedy, że o północy karawana jego wyruszy w drogę, a tymczasem te dziewięć godzin, które jej pozostaje, użyje na spoczynek. Upatrzono tedy na falistym terenie stepu miejsce takie, żeby i od wiatru było nieco przykryte i żeby zarazem panowało nad okolicą, aby na wypadek pojawienia się zbójów, można było z daleka ich dostrzedz i odpowiednio się przygotować. Na posiadającej te oba warunki polance, lekką falą ziemi przysłonionej od wschodu, zkąd wiał wiatr, rozjuczono zwierzęta, z wielbłądów zdjęto kibitkę, zabito w ziemię, pośrodku jej rozniecono ogień. Nad ogniem ustawiono trójnóg żelazny, a na łańcuchach zawieszono kociołek, w który bez żadnych kulinarnych przepisów narzucano *pêle-mêle* lodu, soli, szafranu, łoju baraniego i niemal całego barana. Lód, którego spory zapas wziął Burnaby ze sobą, miał w danej potrawie zastępywać miejsce wody. Dla Burnabego usłano w jednym kącie kibitki posłanie z futra baraniego, przykrywszy je po wierzchu grubym na palec a jednak miękkim i delikatnym *kaszmarem*, który my w Europie niewiedzieć dla czego nazywamy kaszmirem. Nazar i główny Kirgiz zajęli się kuchnią, podczas gdy drugi zadawał furaż zwierzętom. Ogień buchał świetnie, podsycany ostrym wiatrem, płomienie jego jak jakie piekielne języki lizały do koła kociołek, tajały bryły lodu, łój się topił i była uzasadniona nadzieja, że wkrótce zupa barania, patrjotyczna potrawa Kirgizów, dojdzie do stanu takiego, w którym bez

obrazy podniebienia można nią będzie napełnić żołądki. A były też one zgłodniałe co się zowie. Burnaby, który powiada o sobie, że jest dość wstrzemięźliwym, wyznaje jednak otwarcie, że w owej chwili byłby swego pradziadka połknął, gdyby był upieczony na rożniu. A cóż dopiero mówić o kirgizach, u których jak w ogóle u wszystkich narodów dzikich, apetyt jest uczuciem stosunkowo najwyżej rozwiniętem. Przypatrywali się tedy z nieopisaną namiętnością ewolucjom odbywającym się wewnątrz kociołka, wąchali wydobywającą się z niego parę i już *anticipando* oddawali się tej rozkoszy, jakiej mieli doznać za chwilę. Wtem przez otwarte boczne drzwi kibitki, a otwarte dla podsycania siły ognia, dostrzega Burnaby jakiś czarny punkcik na krańcu widnokręgu. Chwyta za lunetę, wpatruje się w nią i widzi jak do tego punkcika przyłącza się drugi, trzeci, czwarty, jak one wszystkie zwiększają się szybko i stopniowo coraz wyraźniej przybierają postać ludzką. Nie ma wątpliwości, są to ludzie, jadą konno, niezawodnie uzbrojeni, musieli nas dostrzedz, dym wznoszący się słupem z naszej kibitki zdradził im nasze istnienie, cóż teraz począć? Znak ten pytania zamknął szereg myśli, które lotem błyskawicy jedna za drugą przeleciały przez umysł Burnabyego. Cóż począć? powtórzył sobie Burnaby wpatrując się dalej w lunetę i natężając oczy, aby pokonać zmrok zwiększający się coraz bardziej. Trzeba będzie walczyć i to wśród niepewnych sojuszników z nieznanymi wrogami. Żeby przynajmniej można było dowiedzieć się naprzód ilu ich jest; ale gdzie tam, zmrok coraz większy, a do tego ci ludzie nie ruszają się prawie z miejsca, rzekłbyś że stanęli i stoją; jednak jest to widocznie złudzenie optyczne, oni muszą jechać, tylko że jadą wprost ku nam, dla tego wydają się jak gdyby stali na miejscu. Ale oto znikają, są coraz mniejsi, zaledwie już ich widać, a wreszcie zniknęli zupełnie. Cóż to u licha! Czy zajechali, za jaki pagórek, czy też oddalając się stopniowo, przejechali za linją horyzontu? W tych bowiem tylko dwóch wypadkach mogli mi zniknąć z oczu. Ale po cóż mieliby się oddalać? Chyba po to, żeby dać znać swym towarzyszom o istnieniu zdobyczy. W takim razie był to tylko rekonesans, a za parę godzin spodziewać się należy wizyty całego oddziału zbójów. Dym zdradził nas przed nimi, a ponieważ są oni niewątpliwie przekonani, że my ich nie widzieliśmy, przeto mają nadzieję, że ognia nie zgasimy i że gdy przybędą z całą bandą, natenczas pomimo ciemności nocy, zdołają nas odszukać. Trzeba więc albo ogień zgasić albo też kulbaczyć konia i wielbłądy i uciekać w step, albo wreszcie decydować się na walkę z nieznanym wrogiem. To ostatnie byłoby może najradykalniejszym środkiem, ale też i najniebezpieczniejszym niezawodnie.

Doszedłszy do tego wniosku, zrywa się Burnaby z miejsca i obraca się ku swoim towarzyszom, aby razem z nimi ułożyć plan walki, kiedy w tem spostrzega, że oni najspokojniej w świecie wydobywają rękami mięso z kociołka i zajadają je w najlepsze, z ukosa obserwując go, czy ich nie widzi.

— *Gaksze* (dobre), odzywa się Kirgiz, dostrzegłszy pierwszy zwrócenie się Burnabyego; próbowalem, czy już gotowe, i proszę was ojcze, już jest *gaksze*.

— Wasza Miłość niech się zbliży i siądzie tu, a ja mu będę podawał, ot na przykład ten kawałek taki tłusty, proszę go prędzej brać, zanim ostygnie — dodaje Nazar wydobywając palcami z kociołka spory kawał pieczeni baraniej.

— Ależ tu nie o pieczeń idzie. Przecież za chwilę będą oni tutaj — przerwie mu Burnaby.

— Kto oni? — zapytuje Nazar i obaj Kirgizi, bo i drugi, zadawszy obrok koniom i wielbłądom, a usłuszawszy z daleka ruchy szczęk u swych towarzyszy, pospieszył corychlej do kibitki.

— No kto — Kirgizi przecie, zbóje.

Na te słowa Burnabyego, cała ta trójka, jakby poruszona jedną sprężyną, rzuca się z wściekłością dzikich zwierząt do kociołka. Ręce w szalony ruch wprawione, chwytają kawały mięsa i wpakowują je w rozwarte jak otchłanie usta, oczy wyłażą na wierzch, nozdrza rozstawione sapią jak miechy kowalskie, słowem odbywa się nie jedzenie, ale glatynacja w najwyższym stopniu spotęgowana. Burnaby, który się spodziewał, że słowa jego wywołają przestrach, który ostatecznie mógł przypuszczać, że na wieść o zbójach Kirgizi rzucą się do koni, aby uciekać co rychlej, na razie tak był zdumiony tym faktem, że chwilę stał w niemem milczeniu i bezmyślnej kontemplacji.

— Precz łotry od kotła, bo wam łby porozbijem! — wrzaśnie nakoniec Burnaby, wydobywając rewolwer z kieszeni.

Na widok rewolwera i rozgniewanej fizjognomji Anglika, zdradzającej, że od groźby do czynu niedaleka przestrzeń, Kirgizi i Nazar odskoczyli od kotła i jak spłoszone psy przyczaili się w kątach kibitki.

— Zbóje nad karkiem, za chwilę już tu będą, a wy tymczasem, zamiast myśleć o obronie, oddajecie się żarłoctwu; — przemówi do nich nieco łagodniej Burnaby, ujęty ich posłuszeństwem.

— Nam żal było baraniny, którą zabraliby zbóje — odzywa się nieśmiało Nazar.

— O, że zabiorą, to nie ulega wątpliwości. Niech Wasza Miłość je i nam pozwoli, bo jak oni tu przybędą, to nam nic nie zostawią, dodaje już nieco śmielej jeden z Kirgizów, wysuwając się z kąta kibitki.

— Milczeć! Dość tej gadaniny. Gasić ogień natychmiast.

— A czem Wasza Miłość, kiedy wody nie mamy.

— Wylać kocioł na ogień.

— Kocioł!? Wasza Miłość niech zastanowi się, cóż jeść będziemy? — Krzyknęli wszyscy trzej nie mogąc pojąć, aby ten pokarm, od którego jedynie rewolwer mógł ich oderwać, miał być tak marnie zniszczony.

— Jedno jeszcze słowo i w łeb palnę — wrzaśnie Burnaby, wyprężając rękę z rewolwerem i biorąc nim na cel wszystkich trzech po kolei. — Wylewać kocioł w tej chwili!

Kirgizi rzucili się do kotła i poczęli podważać trójnóg żelazny, na którym on wisiał, kiedy wtem dał się słyszeć wyraźny tętent kopyt końskich.

— Cicho! sza! — krzyknął Burnaby.

Kirgizi jakby skamienieli. Cisza zaległa kibitkę, a na tle jej zarysował się ciężki tętent kilku stępo idących koni. Tętent stawał się coraz wyraźniejszym, tak, że sądząc z niego należało przypuszczać, że najwyżej o jakie kroków pięćdziesiąt znajdowali się jeźdcy od kibitki. Wprawnie wsłuchując się, można nawet było rozróżnić liczbę koni.

— Pięciu, sześciu najwyżej — rzekł Burnaby, a więc walczmy. Nazar! ruszaj do koni! Gardłem mi odpowiesz, jeżeli choć jednego ci sprzątną. A wy obaj do wielbłądów. Ja zaś natrę na nich z przodu. Marsz!

I to rzekłszy wyskoczył Burnaby z kibitki, a za nim, jakby pełznąc po ziemi wysunęli się Kirgizi z Nazarem. Burnaby cofnął się w tej chwili w bok, żeby nie stać na smudze światła, którę przez podniesioną zasłonę kibitki, rzucał w step płonący w jej wnętrzu ogień; a gdy cokolwiek oswoiły się jego oczy z ciemnością zalegającą step do koła, dostrzegł na jakie dwadzieścia, do trzydziestu kroków przed sobą czterech konnych Kirgizów czy chiwańców w olbrzymich popachach futrzanych, stępo zbliżających się do kibitki. Na widok wybiegających ludzi z kibitki jeźdźcy stanęli, coś poszeptali ze sobą, poczem trzech pozostało w miejscu, a jeden stępo ruszył naprzód, śmiało kierując się w owę smugę świetlną, zarysowaną na stepie. Burnaby wysunął się parę kroków naprzód, rewolwer opuścił ku ziemi, i stanął tak, aby mieć wszystkich czterech na oku. Jeździec zbliżył się do niego, zatrzymał konia, i nie zsiadając z niego, rzekł donośnym głosem:

— *Salam Alejkom Asalam!*

— *Aalejkom Aasalam* — odparł Burnaby.

Wtedy jeździec zlazł z konia, a zbliżywszy się jeszcze bardziej do Burnabyego, zwyczajem wschodnim przyłożył rękę naprzód sobie do kolan, potem do piersi, wreszcie do czoła i jeszcze raz powtórzył swoje *Salam.* Burnaby uczynił to samo.

— *Aman?* — zapytał podróżny.

— *Aman* (pokój) — odparł Burnaby.

Podróżny głośno powtórzył ten wyraz i wtedy trzej czekający w oddaleniu jeźdzcy zaczęli stępo zbliżać się do kibitki. Jeden z nich, jadący po środku miał dubeltówkę zawieszoną przez plecy, obaj zaś jego towarzysze, zarówno jak i parlamentarz posiadali tylko krzywe szable tureckie i sążniste jatagany za pasem. Zresztą oprócz owej dubeltówki, mniemani ci zbóje nie mieli żadnej palnej broni ze sobą.

Kiedy szef ich, ów, który dubeltówkę posiadał, zbliżył się do Burnabyego, rozpoczęły się więc na nowo ceremonjalne powitania wschodnie. Poczem przy pomocy Nazara wyniesionego do godności tłumacza, Burnaby się dowiedział, że ma przed sobą kupca chiwańskiego, który z transportem rozmaitych towarów wraca z Kazali do Chiwy. Dostrzegłszy zaś na stepie słup dymu, kupiec ten uznał za właściwe zbliżyć się do miejsca zkąd on pochodził, w mniemaniu, że może to który z jego kolegów chiwańskich jedzie z towarami do Kazali.

Po tych oświadczeniach przedwstępnych i po zakomunikowaniu ze strony Nazara kto jest Burnaby i dokąd się udaje, Chiwańczyk otrzymał zaproszenie wstąpienia do kibitki dla ogrzania się i skosztowania baraniny. Naturalnie, że inwitacja przyjęta została jak najchętniej, zwłaszcza, że wiadomość, iż Burnaby jest Anglikiem, wywołała u chiwańczyka i jego towarzyszy objawy niekłamanej radości.

— Inglez, Inglez, u! pa pa! — powtarzali oni chórem, budując na tym fakcie, że Burnaby udaje się do Chana Chiwy, takie same zamki z urojeń i iluzji, jakie to i my chętnie stawialiśmy, gdy w parlamencie francuskim lub angielskim, który z posłów przemówił gorąco w imieniu naszej sprawy. U! pa pa! krzyczeliśmy i my tak jak ci Chiwańczycy i tak jak oni chodzimy w jarzmie niewoli.

Ale oni byli przynajmniej praktyczniejsi od

nas. Patrjotyzm swoją drogą, a apetyt swoją. Oddawszy więc hołd illuzjom patrjotycznym, wzięli się gorliwie do zaspokojenia ekonomicznych warunków bytu, o których my tak chętnie zapominaliśmy. Skoczyli więc z koni i w kilku minutach w pobliżu kibitki Burnabyego rozpięli lekką kaszmarową kibitkę, taką właśnie jaką jadąc konno brać ze sobą można. Kibitkę Burnabyego, ze skóry baraniej uszytą i powleczoną ciężkim kaszmarem, koń, obciążony już jeźdzcem, nie potrafiłby udźwignąć. Taką bierze się w drogę wtedy jedynie, gdy się prowadzi ze sobą wielbłądy.

Burnaby wrócił tymczasem do swojej kibitki, a chociaż mu apetyt świdrował i rozrywał wnętrzności, nie dotykał się jednak do jadła, gdyż grzeczność, tak surowo na Wschodzie przestrzegana, nakazywała zaczekać na gościa. Nazar i Kirgizi siedzieli opodal i wąchaniem pary ulatującej z kotła ledwie hamowali swój gniew. Gdyby mogli, byliby oni żywcem upiekli Chiwańczyka, raz dla tego, że z jego powodu czekać musieli na kolację, powtóre, że część jadła, któraby się im dostała, utonie w jego gardle.

— *Szajtanach* go przyniósł w te strony — mruczał Nazar pod nosem, jednem okiem patrząc na kocioł, drugiem zerkając przez szparę na kibitkę Chiwańczyka, chcąc wywnioskować, czy prędko on przybędzie z wizytą.

Ale ponieważ wszystko na świecie ma swój koniec, więc i niecierpliwości Nazara nadszedł kres, gdyż Chiwańczyk wydawszy żywność swym ludziom i odpowiednie instrukcje, zjawił się wreszcie w przybytku Burnabyego. Po trzeciem już z rzędu ceremonjalnem powitaniu, Burnaby wbił widelec w kawał pieczeni i podał go Chiwańczykowi. Chiwańczyk zdjął mięso z widelca, oderwał ostentacyjnie kęs jeden i rzucił go wprost w twarz Nazarowi. Ale Nazar był widocznie na to przygotowany, bo w tym punkcie, gdzie mięso uderzyć miało, zjawiła się otwarta jego paszczęka i w lot je schwyciła. Chiwańczyk dowiódł tym faktem, że jest człowiekiem dobrze wychowanym. Po pierwsze bowiem nie okazał zbytniej łapczywości, skoro mając w ręku soczystą pieczeń, miał tyle jeszcze władzy panowania nad sobą, żeby pierwszy jej kęs oddać drugiemu; powtóre oddał hołd zwyczajowi, nakazującemu dla przekonania się, czy mięso nie jest zatrute, pierwszy jego kawałek rzucić faworytowi gospodarza. Jeżeli ten uchwyci je w lot i połknie, natenczas oczywisty dowód, że trucizny w mięsie nie ma; jeżeli zaś dozwoli mu upaść na ziemię, a raczej na rozścielone na niej futro baranie, w którego kudłach łatwo kęs ten zeskamotować i innym zastąpić, natenczas przezorniej jest wymówić się od jadła i gospodarza pożegnać.

Nazar uchwycił w lot mięso. Mógł przeto Chiwańczyk zająć się spożywaniem baraniny z tym samym spokojem, z jakim nasz chłop lub nasz szlachcic raczy się wódką z tego samego kieliszka, z którego pił do niego gościnny jego sąsiad. Albowiem słowiański zwyczaj picia wódki z jednego kieliszka jest w bliskiem powinowactwie z Chiwańskim zwyczajem rzucania mięsem w twarz faworytów. Forma tylko inna, ale myśl i geneza ta sama. Tak tu bowiem jak i tam obawa przed otruciem stanowi podstawę towarzyskiego obrządku. Warto byłoby jednak, żeby nasze niższe warstwy społeczne a także i wiejskie, owe, które lubią tak namiętnie w rzeczach powierzchownych świat wyższy naśladować, zechciały i pod tym względem pójść w ślad za nim i zarzuciły ten zwyczaj tak wstrętny, że wywołujący wprost dreszcze nerwowe u osób delikatnie wychowanych i przyzwyczajonych do czystości. A czyż to tak trudno mieć tyle kieliszków ile gości.

— Mocno się cieszę — rzekł Chiwańczyk, zaspokoiwszy swój apetyt i obtarłszy połą chałata usta — że się spotkałem z Waszą Miłością. Po stepie zawsze bezpieczniej jechać w kompanji, szczególnie z tej strony Kalenderhany.

— My nie jedziemy na Kalenderhanę — przerwie Kirgiz, będący głównym przewodnikiem.

— A to dla czego? Przecież to najkrótsza droga do Chiwy.

— Bo jedziemy wpierw do fortu.

— Aha?! Do fortu, do *Moskowów?* A to co innego. Proszę, nie spodziewałem się. W każdym jednak razie mam nadzieję, że Wasza Miłość zechce jeszcze dzisiaj zaszczycić swojego sługę. Poczem wstał i pożegnawszy się wschodnim zwyczajem, opuścił kibitkę.

Nazar słowo w słowo przetłumaczył Burnabyemu całą tę rozmowę, poczem Kirgiz przypieczętował rzecz tej treści refleksją:

— Jemu chciałoby się z nami jechać, boby co dzień objadał się naszym kosztem.

— Nie bój się, mój kochany — przerwie mu Burnaby — nie wiele Chiwańczyk zje ci baraniny, gdyż jutro a najdalej po jutrze rozłączymy się; on będzie musiał skręcić na Zachód, do Kalenderhany, a ja potrzebuję jechać wprost do fortu. Ale, Nazarze, chodź ze mną do Chiwańczyka. Już piąta dochodzi; za pół godziny wrócimy i położymy się spać, a o północy w drogę. Wy zaś tymczasem pilnujcie koni i wielbłądów.

(C. d. n.)

Z PARYŻA

przez

LITWOSA.

Wypadki losowania narodowej loterji i figle jakie płata fortuna w rozdawaniu fantów, zabarwiają pewną wesołością poważny nastrój zimowego sezonu w Paryżu. Mówię: poważny, bo obok tego Paryża, który się bawi, świeci, jak wąż stubarwny, szumi, hałasuje i łaknie rozkoszy, — jest drugi, który się uczy i myśli. Zamierający w czasie upałów letnich ruch umysłowy ożywia się za nadejściem chłodów i jesiennej niepogody. Akademje rozpoczynają swoje posiedzenia i prace, wystawy księgarskie zdobią się coraz nowemi książkami, kolegja ściągają rozproszonych słuchaczy. Pracowite mrówki naukowe znoszą ze wszystkich stron źdźbła wiedzy i składają je do wspólnego mrowiska; zawiązują się naukowe spory i rozprawy, i w ten sposób, życiem ducha i idei, dopełnia się zewnętrzne, goniące tylko za użyciem, za bogactwem, za zabawą i zbytkiem,—słowem,—wyłącznie za chlebem i igrzyskiem.

W owym to zimowym okresie panowania muz, uwaga publiczna nastraja się także poważniej i zajmuje się nietylko dniową polityką, nietylko hossą i bessą giełdową albo anegdotami o publicznych ludziach, ale interesuje się również żywo tem, co się dzieje w łonie towarzystw naukowych, co nowego odkryto, powiedziano, gdzie jaki profesor wykłada i jak swój przedmiot traktuje. Jest to może charakterystyczną cechą Francji i Paryża, że tu uczeni nie stanowili nigdy nakształt średniowiecznych Różokrzyżowców, bractw zamkniętych. Mszę przy ołtarzu nauki odprawiają wprawdzie tylko kapłani, ale słucha owej mszy cała publiczność. Z ostatecznych przyczyn i zasad, ogół nie umie sobie zapewne zdać sprawy, tak jak większość ludzi, chodzących po Avenue de l'Opera, nie rozumie dlaczego lampy elektryczne palą się i rzucają blask tak jasny. Nie przeszkadza to jednak, że wszyscy korzystają z ich światła. Takie popularyzowanie nauki, takie dopuszczanie, z pomocą Sorbony, Collège de France i innych zakładów, szerszej publiczności do udziału w ruchu naukowym, a nawet i sądu o nim sprawia, że nauka i płynące z niej nowe idee nie są tu niczem pargaminowem, zżółkłem, zwiędłem, jakąś wyłączną arendą uczonych profesorów, ale czemś żywem, wchodzącem natychmiast w krew i cały organizm ogółu.

Temu to może przypisać należy, że lud ten, nieskładający się przecież z jednostek bezwarunkowo najbystrzejszych i najwięcej umysłowo uzdolnionych, wiedzie jednak poniekąd rej cywilizacyjny i daje początkowanie wszelkim nowym ideom. Nie twierdzę, że powód to wyłączny, ale zapewne jeden z wielu. Nowe idee wytwarzane bywają przez uczonych lub przez społeczne warunki, ale odczuwa je i daje im popęd lud; lud zaś może je tem łatwiej i potężniej odczuwać, im szerszą drogą go dochodzą.

Obecnie, jednym z faktów, najwięcej zwracających na siebie uwagę myślącego ogółu, jest otwarcie w Collège de France wykładów literatury francuskiej nowożytnej. Rozpoczął je prof. Paweł Albert, wobec ogromnego natłoku rozciekawionej do wysokiego stopnia publiczności. Z biegiem wykładów profesorowi przyjdzie zapewne mówić i o czasach najnowszych i o ludziach, żyjących jeszcze, o dzisiejszych kierunkach, dzisiejszych walkach i drogach, po których kroczy obecnie twórczość francuska. Ztąd ten żywy interes i gorączkowa ciekawość publiczności, która przychodzi tam po sprawdzian własnych przekonań, po utwierdzenie się w sądach i estetycznych instynktach. Czy istnieje, a jeśli istnieje, to zdrowyż li kierunek obecny? dokąd idziemy? gdzie i jaka jest synteza dzisiejszych objawów twórczości, tak rozmaitych i rozstrzelonych, że zwykłe oko widzi na nich raczej chaos i rozprzężenie? Co usłyszymy i co nam powiedzą? czy pozwolą czcić dotychczasowe bóstwa, czy może zapadnie wyrok, jaki kiedyś Klodwig usłyszał: „Sigambrze, pal, coś czcił, a czcij, coś palił?“ Oto pytania, które sobie każdy zadaje, a na które czeka odpowiedzi od nowopowołanego profesora.

Katedra literatury w Collège de France była po wszystkie czasy bardzo ważną, była bowiem niejako pośrednikiem między obozem ściśle literackim z jednej a publicznością z drugiej strony, a więc rodzajem sternika sądu ogółu. Rolę tę wypadało jej szczególnie grać koło roku 1820, w czasie walki klasyków z romantynami, podczas której cały Paryż rozdzielił się na dwa obozy.

Nigdzie może nieprowadzono walki tak zaciętej i na tak szeroką skalę, o sprawę, nikogo bezpośrednio nietyczącą. Koleje walki i stanowisko względem niej katedry kreśli p. Albert w pierwszym swoim wykładzie. Między dwoma temi wojującemi kościołami wahała się masa, raz chętna nowościom, to znów przerażona zuchwalstwem apostołów, a mająca jednak przechyleniem się swojem zapewnić zwycięztwo. Oczy tysiąców zwracały się wówczas na katedrę, i tysiączne głosy zdawały się pytać: „gdzie iść, mistrzu?“ Ówczesny mistrz Andrieux nie dawał wprost odpowiedzi, pomimo iż w gruncie rzeczy duszą i ciałem należał do „peruk.“ Sam poeta, w walce zatem

interesowany, z natury słodki, łagodny, ceniący formę spokojną i w karby ujętą, bał się tej nowej romantycznej burzy, więc romantykiem być nie chciał i nie mógł. Też same jednak przymioty nie usposabiały go i do walki. Prowadził wprawdzie wojnę z nową szkołą, ale sobie taką małą wojenkę aluzji, ostrożnych epigramatów, które zachwycały niektórych, klasycznie wykwintnych słuchaczów, ale nie zaspakajały ogółu. Publiczność spodziewała się czegoś innego. Wołano wówczas o sąd, o wyrok potężny jak grom, stanowczy, jak papieska encyklika. W takich czasach przewrotu, gdzie idzie o przeciągnięcie mas, o śmierć lub życie, gdy każdy, kto się do solidarności poczuwa, macha piórem, jak cepem, takie stanowisko ostrożne, takie wojowanie ołowianą szabelką docinków, nie wystarcza. Trzeba wówczas przycisnąć przeciwnika do muru i wsadzić mu kulę w ucho, inaczej on to zrobi Andrieux nie był do tego stworzony, — skończyło się więc, że publiczność czuła tylko zawód, a przeciwnik, biorąc szturmem pozycję po pozycji, odpowiadał uczonemu i jego obozowi krwawemi słowy:

„Vieillard va-t'en donner mesure au fossoyeur...
„Vieillard stupide!...

(Hernani.)

Wreszcie przeciwnik zdobył i katedrę, w osobie M. Ampère, który był już zdecydowanym romantykiem. Przypadło to na najgorętsze czasy walki, zawiści i nietolerancji, posuniętej do najwyższego stopnia. W Niemczech, Anglii, we Włoszech i w Polsce mury były już rozbite, przeszkody zdruzgotane; nowe arcydzieła, jakby nowe słońca okazywały się codzień; nowy wiatr przewiewał umysły z jednego końca Europy na drugi,— Francja jedna nie chciała jeszcze wiedzieć nic o sąsiadach, nie znała ich prac, wygwizdywała Szekspira; ciągnięta za uszy i włosy, nie chciała jednak wyjść ze swego XVII wieku, wypierając się własnych dawniejszych tradycyj i otaczając, jakby murem chińskim odosobnienia. Ampère uderzył w ten mur. Tradycje średniowieczne, z których rodził się romantyzm, wiązały Francję z Niemcami, Włochami i Hiszpanią,—Ampère jest więc tam wszędzie, bada nowy kierunek na wszystkich zapoznawanych dotąd polach,—szuka słowa zagadki wszędzie, choćby mu w Skandynawii i Meksyku szukać przyszło, i wreszcie pierwszy kładzie naukową pieczęć pod nowem wyznaniem poetycznej wiary, pierwszy mówi z katedry tym wszystkim, którzy aż dotąd nieśmiało wierzyli: możecie wierzyć otwarcie, albowiem rozum i nauka są po waszej stronie.

Po Loménie, znakomitym krytyku, i po krótkotrwałych wykładach p. Feugére, wyjątkowo poświęconych wiekowi XVII, Paul Albert jest czwartym z kolei profesorem, który o romantyźmie mówić będzie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, jakkolwiek walka z klasykami, jak wszędzie tak i we Francji, została raz na zawsze ukończoną i o zawrocie do czasów pseudoklasycznych mowy nawet być nie może, przecie sprawa racji samego romantyzmu mniej zostawała rozstrzygniętą, zatem więcej do dziś interesującą.

U nas romantyzm, oprócz średniowiecznych tradycji, wchłonąwszy w siebie utwory wyobraźni ludowej, wsparł się na bardzo szerokiej podstawie, a przytem, przez swój zwrot potężny ku całemu ogółowi, zmienił do wysokiego stopnia swój charakter, uprawnił się niejako, związał z życiem, stał się istotną i prawdziwą poezją ogółu.

Nie ma wątpliwości, że miał i u nas wiele złych stron. Bezwątpienia, rozluźnił do wysokiego stopnia formę artystyczną i wprowadził pewną swawolę językową, zadawalającą się przewagą mnóstwa słów nad treścią. Również kazał się często zapalać na zimno do rozmaitych gminnych, do niebywałych istot i bohaterów, do bogów, dawnych bożków litewskich lub pomorskich, w czem nie było żadnej szczerości, bo inna sprawa, jeśli poeta takie rzeczy od ludu i w imię ludu maluje, a inna, gdy udaje, że sam w nie wierzy, i czytelnikom każe wierzyć. Wprowadzało to pewną modę, pozbawioną wszelkiego rozsądku i prawdy. Z drugiej strony w najwspanialszym nawet swym zwrocie, w tym właśnie, który go związał z życiem i prawdą uczuć całego ogółu, nowy kierunek, gdy jako Gustavus obiit, a, jako Conradus natus est, popadł w mistycyzm, nastroił chorobliwie uczucia i wyobraźnię, uchrystusował i ubóstwił wszystko; zdjął z ogółu wszelką odpowiedzialność, zatem zamknął oczy na potrzebę rachowania się i odradzania z win. To wszystko było także winą, ale ze stanowiska społecznego, na którem zatrzymywać się dłużej nie chcę. Swoją drogą zwrot był dokonany: z Gustawa zrodził się Konrad, a przezeń jedna więcej, zdrowa, życiowa i prawdziwa zasada została zapewniona. Nic podobnego w znaczeniu ogólnem nie stało się we Francji. Warunki tu były inne. Romantyzm francuski nie mógł być i nie był czemś tak z wnętrzności narodu francuskiego płynącem i nigdy nie stał się bezpośrednio patrjotycznym. Z drugiej strony nie oparł się także na podstawie ludowej, z tej prostej przyczyny, że podstawy tej brakło w samym ludzie. Fantazja ludów słowiańskich, to prawdziwie przezroczysta powierzchnia jeziora, w której odbija się wszystko: ziemia, pola, lasy, stepy, słońce i gwiazdy. Co więcej, odbicie to nie jest tylko biernem. Z połączeń owych różnych pierwiastków przyródy, z owego popędu dopatrywania w nich żyjącej duszy, z pewnej wrodzonej tym ludom skłonności do mistycyzmu, powstają tysiące nowych postaci wil, dziwożon, rusałek, świtezianek, upiorów. Wobec nich, porównanie fantazji do toni jeziora już nie wystarcza. Jest ona raczej zwierciadłem czarnoksięskiem, w którem odbija się, nietylko krajobraz, ale jego dusza odgadnięta i w tysiącu kształtów upostaciowana, w którem zmartwychwstaje przeszłość, a nawet przyszłość zarysowywa się w mglistych obrazach.

Weźmy klechdy i bajki polskie, dumy ruskie, epiczne pieśni serbskie lub nie dawno wynalezione bułgarskie! Czyż nie przesuną one przed naszemi oczyma kraju, historji, hufców, zbrojnych rycerzy ze skrzydłami, kozaków, pławiących się w trawach po pachy, junaków serbskich, Turków, Tatarów, jakichś postaci królewskich, na wpół w przeszłości i bajce rozpłyniętych, a przez wyższe siły wspomaganych? Są to poprostu całe światy wskrzeszone, odgadnięte lub wyśnione. A kto i kiedy te pieśni tworzył? Gdzie są ich autorowie? Doprawdy, mimowoli nasuwa się porównanie, że, jako na piaskach drogowych w czasie ciszy i letniego upału zaczyna się czasem ni ztąd ni zowąd kręcić i powstawać ku górze zwichrzony słup pyłu, tak i nad równiną głów ludzkich na Słowiańszczyźnie zrywa się czasem nagle i wystrzela ku niebu pieśń gminna, ta „arka przymierza między dawnemi i nowemi laty.“

Bez wszelkiej z góry powziętej chełpliwości powiedzieć można, że mało szczepów odznacza się taką szczególną i twórczą zdolnością poetyczną, a przedewszystkiem nie odznacza się nią lud francuski. Jedni tylko bretonowie coś tworzą, ale to i język, i tradycja, i nastrój duchowy, bardzo odrębny. Prowancja, owa „Ruś francuska“, jak ją niektórzy nazywają, ma swoją wspaniałą pierwotną literaturę, któraby mogła posłużyć, jako dowód przeciwny, gdyby nie to, że, po uważniejszym rzucie oka, łatwo przekonać się można, że literatura ta nigdy nie była gminną. Wszystkie jej te utwory są dziełami literackiemi, czego sama ich forma i sztuczne układanie rymów w asonancje dowodzi. Śpiewali pieśni te trubadorowie, chodząc od zamku do zamku, za przedmiot uczuć biorąc piękne kasztelanowe, za przedmiot pieśni, uczucia. Życia gminnego, jego doli, jego prostoty i wierzeń, nie ma w nich zupełnie. Pytałem o charakter tej literatury, ludzi wyłącznie się jej poświęcających, i przekonałem się, że żaden z nich nie przyznawał jej charakteru ludowego. O reszcie Francji mniej jeszcze można powiedzieć. U nas fantazja i poezja ludowa zasila książkową, tu odwrotnie: książkowa ludową. Na dowód mógłbym przytoczyć pieśni, które sam słyszałem w Normandji, a których znakomita większość literackiego jest pochodzenia. W święta i uroczystości, dziewczyny, tworzące korowód, śpiewają tam utwory Ronsarda, nie rozumiejąc częstokroć ich znaczenia.

Romantyzmowi francuskiemu brakło więc tej drugiej podstawy żywotnej, jaką zdobył sobie u nas. Pieśni obrzędowe, łączące bezpośrednio poezję z życiem, wyobrażenia poetyczne gminne, nie podsyciły go tu pierwiastkami prawdy realnej. U nas nadużywano niewątpliwie całego tego aparatu gminnego, mimo tego jednak nie przestał on być ogniwem, wiążącem lud z poezją, zatem życiową cechą tej ostatniej. We Francji nowy kierunek nie zwrócił się wcale do ludu. Cóż mu więc pozostało? Oto średniowieczna tradycja, jej zamki, klasztory, rycerze jej, wybujały indywidualizm, uosobiony w postaciach istotnie romantycznych aż do zdziczenia, a następnie tworzenie wedle tych wzorów nowszych już postaci równie zdziczałych, równie wyjątkowo przeciwstawiających się społeczeństwu, niby dla niego za wielkich, a w gruncie rzeczy chorych na potworny rozrost własnego *ja*, wspaniałych, gdy się je bierze z dobrą wiarą, śmiesznych, gdy wionie na nie wiatr sceptycyzmu.

Jeślić teraz zgodzimy się, że poezja szczera i prawdziwa ma przyłożyć ucho do piersi narodowej, podsłuchać bicia serca ludu, pochwycić jego uczucia, porywy i tęsknotę ku temu, co na tym świecie lichym, płaskim, powszednim, jest lepszem, jeślić zadaniem jej jest dośpiewać to, co nie jest dośpiewane i z rozproszonych w całym narodzie pajęczych nici marzeń i myśli utkać wielką a śliczną tkaninę poezji, to trudno zaprzeczyć, że romantyzm francuski nie spełnił tego zdania. Był on niewątpliwie postępem, bo wywalczył swobodę dla ducha, rozkuł poezję z kajdan przepisów — i wreszcie, wprowadził do niej treść nową, o tyle wyższą od dawnej, że ta średniowieczna tradycja była, bądź co bądź francuską, nie zaś grecką albo rzymską. Ale z drugiej strony, rewolucja wykopała przepaść między temi czasami a dzisiejszym wiekiem. Zmieniły się pojęcia, wyobrażenia, zmienił się duch narodu do tego stopnia, że te postacie mnichów i rycerzy, pobudki ich uczuć, powody postępków stały się poprostu niezrozumiałemi. Rycerz średniowieczny ze swoją naiwną wiarą w świętych i czarownikow, ze swoim ślepym zapałem do życia, ze swemi pojęciami

o honorze, zemście, miłości i nienawiści i t. p., jest dziś postacią równie obcą jak każdy klasyczny bohater.

Hernani jest anachronizmem. Dziś trzeba się do takich istot sztucznie nastrajać. Próba zatem tłómaczenia dzisiejszych uczuć i popędów poetycznych, za pomocą tradycji średniowiecznej, nie udała się zupełnie. Jednocześnie, wybujały egotyzm tak zwanych dusz dzikich, jak również zapoznanych i zbolałych, niewiadomo dlaczego, bohaterów, których romantyzm tysiącami na tle nowszego już życia napłodził, nie mógł ostać się wobec ogólnego sceptycyzmu. Wszystko to, razem wzięte sprawiło, że romantyzm francuski nie uczynił zadość poetycznym potrzebom wieku i narodu. Był i pozostał tylko kierunkiem, i dalej: niejakąś pieśnią z dwóch niewyczerpanych źródlisk: serca i prawdy, płynącą, ale przedmiotową sztuką, mającą swe przepisy i ograniczenia. Za wskazówkę, że tak jest, może posłużyć i to, że gdy nasz romantyzm, na szerszych, jak wspomniałem, podstawach oparty i bardziej przenarodowiony, chwytał przeważnie za formę liryczną, jako najbardziej popularną, — francuski brał szturmem głownie teatr. Po zaciętej walce zwyciężył, ale nie zapanował i obecnie coraz silniejszą budzi reakcję.

Jest nią naturalizm czyli zwrot do zwyczajnego codziennego życia, do realnych charakterów i do rzeczywistych stosunków. Zauważono, że życie, takie jak jest, podpatrzone tylko nieco głębiej, dość ma w sobie zagadnień i swoich: „być albo nie być!“ aby nad niemi było się warto zastanawiać. Sądzono, że sztuka, jeśli zwróci się w tę stronę, nie utraci ani jednego ze swoich efektownych środków działania, a uzyszcze nowy, nieodparty: prawdę. Powstała więc nowa szkoła, która w literaturze jest poniekąd tem, czem była flamandzka w malarstwie. Fantazja poszła w niej, już nietylko pod straż prawdopodobieństwa i prawdy, ale po prostu, rzeczywistości. Autorom chodziło i chodzi o to, aby przedewszystkiem malować wiernie, by łapać życie na gorącym niejako uczynku, a zadanie to wydało się tak pierwszorzędnem, że wobec niego pomysł, to jest zestawienie faktów i osób, czyli tak zwana bajka wraz ze swoim sensem moralnym, musiała ustąpić pierwszego pola wykonaniu. Niestawiano wprawdzie tego, jako warunku, ale w rzeczywistości w rozwoju dalszym tak wypadło. Zwrot ten uwydatnił się szczególniej w powieściopisarstwie, w którem też, począwszy od Balzaka i Stendala, a skończywszy na Zoli i Dodecie, potężnych liczy przedstawicieli. Czy jednak klucz do Sezamu został przez to wynaleziony, a nowy wspaniały widnokrąg dla literatury odkryty? Trudno powiedzieć: tak! również jak trudnoby twierdzić, że po za powszedniem życiem nie ma już prawdy. Dla powieści naturalizm był w zasadzie znakomitym, niezbędnym i może jedynym krokiem naprzód. Ale sama treść, nadająca się do jednej formy, nie nadaje się do drugiej. Co jest odpowiedniem dla powieści, może nie być odpowiedniem dla poezji. Jakoż niepodobna zaprzeczyć, że istnieje pewien rozbrat między treścią realnego życia, a formą poezji, — pewien dysonans, dający się objaśnić tem, że sama forma poezji, wiersz, rytm, rym, jest już czemś wyżej nastrojonem, niezwykłem i, w stosunku do codziennego życia, egzaltowanem. Ludzie w zwykłych życiowych warunkach nie mówią rytmicznie chcieć więc mieć ich rzeczywistymi, a zarazem mówiącymi wierszem, jest takąż samą sprzecznością formy z treścią, jaką widzimy w operze, gdy na przykład spiskowcy, zamiast szeptać, spiewają. Dla poezji więc nowy zwrot musiał być w najlepszym razie wskazówką, zasiłkiem, nigdy odrodzeniem i wstąpieniem na nową drogę! „Ty, łabędziu, lataj pod niebem!“ mówił kiedyś do Pindara i o Pindarze Horacy. Jest przytem w masach ludzkich pewna suma dążeń i pragnień oderwania się od rzeczywistego życia, zapomnienia o niem. Doprawdy, pesymiści bardzo zbrzydzili ten świat, a rzeczywistość dopomaga co dzień ich filozofji. Ta straszna rosterka między pragnieniem na gwałt szczęścia a konieczną niedolą, między wysileniami życia a nieuchronną śmiercią rodzi ogólny nastrój, w którymby człowiek, zmęczony aż nadto życiem, rad, niechby na chwilę, o niem zapomnieć i choć w poezji znaleźć jakieś pierwiastki wieczne, a błogie i kojące. Tym to wołaniom dusz umęczonych, tym dążeniom i potrzebom bardzo przecie naturalnym, bo wrodzonym, naturalizm literacki nie czyni zadość. Co więcej, nie wiem, dlaczego tak jest, ale tak jest: raz stanąwszy na gruncie rzeczywistości, stacza się łatwo, jakby po równi pochyłej, aż tam, gdzie rzeczywistość staje się płaskością, zaczyna wstydzić się każdego uniesienia i każdego porywu. Młodość, jej egzaltowane słowo, jej rumieniec zapału, bijący w twarz, jej iskry w oku wydają mu się przesadą. Doprowadzony do krańców, a doprowadzony bywa wszędzie przez jakąś fatalną konieczność, staje się bardziej powszednim niż życie samo. Zatraca się wówczas stopniowo trafny rzut oka na to, co jest prawdą piękną, a co obrzydliwą, i ogólny poziom literatury spada coraz niżej.

Tak się stało we Francji. Romantyzm jej był zbyt jednostronnym, a naturalizm, o który dziś „Figaro“ wydrapuje oczy panu Zoli, przebrał miarę estetyczną, zacieśnił dobrowolnie swoje granice i obniżył własne znaczenie. Weźmy powieść dzisiejszą francuską! Co za brak w niej rzeczywiście wszelkich wyższych idei, podnioślejszych myśli, szerszych pragnień, — słowem wszystkiego, z czego się składa poważne i rozwinięte życie. Wojna, miecz, ogień sroży się nad krajem a w powieści przyjaciel żonę mężowi bałamuci; cesarstwo rozpada się w gruzy, a przyjaciel żonę bałamuci; nastaje rzeczpospolita, walka partji, korab' narodowy, bity wichrami, chwieje się, przechyla, skrzypi, a przyjaciel żonę bałamuci. Wieczny temat! wiecznie to same nędzne tuzinkowe życie! wiecznie ciż sami bohaterowie, z których każdy sobie taki pierwszy lepszy „crevet“ dziesięć razy mniej wart nawet od swego autora, i wiarołomna dama i rogaty mąż. O ile wyborna i pewna jest faktura, o tyle uderzające ubóstwo myśli. Miłość, to odwieczne prawo, to siła życiowa, to dobroczynny genjusz naszego globu — zgoda! Przez nią choas stał się porządkiem, przez nią kwitną kwiaty, zielenią się drzewa, utrzymują gatunki, rozwija ludzkość, promienieją sztuki piękne, rozegrywa się życie — ani słowa. To najsilniejsze i najstarsze z praw natury może złamać wszystkie inne, może nie uważać na żadne: „ja biorę ciebie.“ Nic nie pomogą wszystkie więzy i przeszkody. Można przeciw tej sile mówić, ale oprzeć się jej niepodobna — ona usprawiedliwia i okupuje wszystko, ale to tylko wielka i dogrobowa i niezłamana miłość. Tak ją uważać i uświęcać sztuka i literatura ma prawo. Ale w literaturze francuskiej jej nie ma. Istnieje tylko romans. Bohaterowi powieściowemu do głowy nawet nie przychodzi powiedzieć uwiedzionej kobiecie: jeśli mnie kochasz, to bądź moją na zawsze, zerwij z mężem, ze światem, ze wszystkiem i pójdź za mną! Jeśli się komu zdarzy szczęście rozkochać kobietę, a nieszczęście, że ta kobieta jest cudzą żoną, uczciwiej zapewnie robi i prawdziwiej kocha, gdy, zajrzawszy mężowi w białka oczu, wyznaje mu wszystko. Miłość idzie wtedy na cenę życia, zatem jest uczuciem prawdziwie drogiem, silnem, jak burza, zatem usprawiedliwiającem. Mniejsza, jak się dramat skończy, ale dramat dramatem. Że jednak w życiu tak się nie dzieje, że wygodniej jest kochać się w sekrecie, potem się sobie sprzykrzyć i pójść „każde w swoją drogę“ bez hałaśliwych zajść z mężem, — że to się częściej zdarza, a przeciwne postępowanie byłoby egzaltacją, — więc powieść francuska realna przyjmuje tytko romans, pisuje i wysławia tylko romans.

Jakże niesłychanie mało jest wyjątków od tego ogólnego prawidła, jakże mało kto wychodzi z tego lichego i płaskiego kółka stosunków towarzyskich i konwencjonalnych, w których rozegrywa się głównie wiarołomstwo. Do nikogo z równą słusznością jak do większości autorów francuskich, nie możnaby przystosować słów:

„Jego myślą, jego mową
„Nie odetchnie pierś szeroka;
„Nie pomyśli jego głowa,
„Skier nie weźmie z jego oka.“

Mówią o owem wiarołomstwie i jego marnem tle, że jestto umyślne kładzenie palca na ranę społeczną. Nieprawda! Jest to lubowanie się w kwestji. Cóż u licha! czy nie ma już o czem lepszem do mówienia? W społeczeństwie więcej jest ran ważniejszych, o których się nie wspomina, — a o tej mówi każda powieść, bo ten jałowy grunt dostarcza pola do opisów, do uderzających realizmem opowiadań, do łapania trafnego charakterów i temperamentów. Odrodzone dziś do pewnego stopnia stronnictwo republikańskie lepsze jest pod tym względem od swej literatury, bo w niem są przecież, prócz uwiedzionych lub uwieść się mających mężatek, jeszcze i inne kobiety, a przedewszystkiem jeszcze i inne idee. Jest oto zaraz głuche jakieś przekonanie, że poezja i powieść muszą się zmienić: pierwsza stać się pieśnią narodu, druga wyleźć raz przecie z pod małżeńskiego łóżka; jest jakieś instynktowe poczucie potrzeby, aby cała literatura piekna, zatem cała literatura twórcza weszła na inne drogi, wzięła rozbrat ze zdziczałym egotyzmem, z romansem, a wsiąknęła w siebie nowe myśli i nowe idee, wielkie, a godne odradzającego się narodu. Tyle przecie nowych pojęć politycznych, społecznych i filozoficznych krąży w powietrzu. Pojmuje je rozum i z tąd rodzi się nauka, ale odczuwa serce, i z tych uczuć może wykwitnąć odrodzona literatura. Jak się to stanie i kiedy, trudno powiedzieć. Czują jednak ludzie, że to, co jest, nie wystarcza. Jedni sądzą, że tę reformę zbawienną przeprowadzi właśnie powrócony na szlachetne drogi naturalizm, — i w Zoli, który więcej od innych zwrócił się do społecznych zagadnień, widzą, jeśli nie odkupiciela, to przynajmniej poprzednika prostującego drogi pańskie. Inni nic nie wiedzą; wszyscy czel ają czegoś, a tymczasem biegną, gdzie można słowo nowe usłyszeć, oblegają katedrę filozoficzną p. Caro i literacką Alberta, zajmują się sprawami literackiemi, spierają się sami, wołają o światło!

Wśród tego zamętu nieskrystalizowanych pojęć, wśród tych zapytań: gdzie iść? i tego gwaru gonitwy za nieoznaczonym jeszcze ideałem, białowłosy ojciec romantyzmu, osiwiały bard

z Guernesey, kładzie od czasu do czasu krzepnące palce na harfę. Słuchają go! Palce stare, i harfa może zastara, ale on jeden przynajmniej nie bał się nigdy wielkich idei.

* * *

Oto rys jeden dzisiejszego życia umysłowego Francji. List ten miał być kroniką, a zmienił się jakby w pobieżny list literacki. Sporą wiązkę zdarzeń, spraw i wypadków przyjdzie mi odłożyć na później. Tymczasem teatra dają nowe sztuki, wystawy księgarskie upstrzyły się nowemi książkami: kilka z nich leży na moim stole; byłoby o czem pisać, ale, że dzień dzisiejszy i list dzisiejszy zapewne nie ostatni, zatem: do następnych dni i listów!

KARTECZKA.

Oko twoje wyschło,
Pobladły jagody—
I rozpacz osiadła
W twej duszyczce młodej.

Dziewczyno! Cóż znaczy,
Że ci w życia wiośnie
Gwiazda twego losu
Świeci tak żałośnie?

W dłoni drobną kartkę
Trzymasz nieszczęśliwa —
Od niej się na chwilę
Twój wzrok nie odrywa...

Co znaczy ta kartka?
Czemu znak nazwiska,
Co czernieje na niej,
Tobie łzy wyciska?

Rzuć żale i troski,
Rzuć pamięć mogiły,
Nie wstanie już z grobu,
Nie wstanie twój miły.

Jeszcześ w kwiecie wieku
I świat ci się śmieje,
Przyjmże moją miłość,
Z nią w przyszłość nadzieję.

Ale ona główką
Wstrząsa i znów goni
Okiem po karteczce
Bielejącej w dłoni.

St. Ross..ski.

Czemu ja kocham?

Czemu ja kocham te oczy cudowne,
Które tak wdzięcznie spoglądają ku mnie,
Czemu ja kocham te usta urocze,
Różane lica, te ząbki czarowne,
To piękne czoło wznoszące się dumnie,
Te czarne włosy, te piękne warkocze?

Czemu ja kocham każdy listek róży,
Który twa ręka swawolna zerwała,
Czemu ja kocham każdą muszkę małą,
Co ci na łące za igraszkę służy;
Każdą drobnostkę, którąś w ręku miała,
Czemu ja kocham moją duszą całą?

Czemu ja kocham ten uśmiech niebiański
Wioną cy w koło rozkosz i wesele,
Te czarne oczy, co same nie wiedzą
Że jak robaczek błyszczą świętojański,
Czemu ja kocham ciebie — mój aniele?!
Czemu?.... Bogowie to wiedzą!

.ary....wand.....

DZIECI HELENY.

POWIEŚĆ.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

Deszcz padał ciągle. Ach, oby godzina słońca! byle tylko kałuże zmieniły się w wilgotne błoto i dzieci mogły się bawić bez dręczenia innych ludzi! Ale nie było to zapisanem w wyrokach nieba. Pośród opowiadanych powiastek i powieści, śród piosnek, improwizowanej menażerji, w której ja po koleji przedstawiałem rozmaite zwierzęta, będąc raz nawet ostrygą, i armadilem, powoli, żółwim krokiem, domęczało się poobiedzie do końca, a w miarę tego lżej mi się na sercu robiło. Jeszcze tylko dwie, jedna godzina, a dzieci będą w łóżkach na całą noc i ja z niewymowną rozkoszą będę nareszcie używać spokoju! Co do nich, już teraz nawet mieli ochotę zachowywać się rozsądnie, bo byli głodni i znużeni, rozciągnęli się na posadzce, oczekując obiadu. Skorzystałem z tego, żeby powrócić do mej książki, ale wkrótce łoskot i krzyk jakiś wezwał mnie do jadalnego pokoju. Na ziemi leżał Charley, a koło niego całe nakrycie stołowe, pieczeń barania rozsypane owoce, maselniczka świeżego masła i wiele innych rzeczy. Widocznem także było, że cała wazka gorącego rosołu wylała się na rączkę Charley'a. Czy się choć nie bardzo sparzył? Prędko rozdarłem aż po ramię rękaw jego koszulki; skóra pod nim była mocno zaczerwieniona, ale przypomniałem sobie wypróbowane lekarstwo mej matki na wszelkiego rodzaju oparzenia, i wziąwszy tłuczonych kartofli, które się na szczęście znajdowały pod ręką, rozłożyłem je na czystej chustce do nosa, i owinąłem mu rękę jakby kataplazmem. Potem zażądałem wyjaśnienia.

—Chciałem sobie tylko wziąć kawałek chleba, a brzydki, niedobry stół, zaczął ciskać wszystkie rzeczy na mnie, i upadł przez połowę — mówił z płaczem Charley.

Zaprawdę mówił prawdę, o ile sam rozumiał swój przypadek; ale spinanie się po stołach jest złym zwyczajem dla małych chłopczyków, zwłaszcza jeżli ich mamy mają upodobanie w dziedzicznych staroświeckich stołach, ze spuszczającemi się blatami. Wysłałem więc Charley'a do dziecinnego pokoju, żeby tam bez wieczerzy rozmyślał nad swoim występkiem. Sam zaś z Edwardkiem pożywiłem się dostatecznie szczątkami ocalonymi z rozbicia; później poszedłem zajrzeć na górę, czy winowajca skruszony. Trudno to było orzec od razu, bo stał do mnie plecami, płaszcząc swój nos o szybę, ale dostrzegłem, że mój kataplazm gdzieś zniknął.

— Charley'u, gdzie jest to co ci wujcio przyłożył na rękę? — spytałem.

— Zjadłem — odrzekł prawdomowny młodzieniec.

— A chustkę, czy także zjadłeś?

— Nie; chustkę rzuciłem za okno; nie potrzebuję żadnych brudnych, szkaradnych chustek w moim ślicznym pokoiku.

W zadowoleniu, że widać oparzenie jego było lekkie, puściłem mimo uszu zniewagi dotyczące mej chustki, i zawołałem Edwardka, żeby obu chłopców równocześnie zapakować do łóżek, i zrzucić z siebie nareszcie kajdany, które cały dzień dźwigałem. Nie było to jednak łatwem zadaniem. Niewątpliwie szwagier mój, Tom Lawrence, zna lepiej niż ktokolwiek inny, potrzeby własnych swych dzieci, ale jeżelibym ja kiedy był ojcem rodziny, dzieci moje z pewnością nie będą nauczone tylu sposobów nadużywania dobrej woli rodziców. W programie ich wieczornym, nieodzownemi były opowiadania, pieśni, rozmowy moralne, mocowanie się, dawanie grosików, rzucanie tychże do skarbonek, zwolna i po jednym, a potem ogłuszające potrząsanie niemi. Dalej musiałem mówić głośną modlitwę, a żadna konwencjonalna nie byłaby przyjętą; następnie jeszcze chłopcy sami odmawiali swoje paciorki, i dopiero wtenczas wolno mi było odejść, zamieniając z nimi: „Niech was Bóg ma w swojej opiece.“ Tego wieczora takie mnie owładnęło poczucie osobistej słabości i znużenia, że gorąco odrzekłem „amen“ na ich niewinne błogosławieństwa.

Matki brytyjskich chłopców! przyjmcie odemnie hołd czci, jaka się żadnemi słowy oddać nie da, hołd podziwu i uwielbienia, na jakie nie zasługują żadne największe dzieła świata. Oto ja, silny mężczyzna, nic innego nie mając na głowie, jestem doprowadzony przez dwóch chłopców nawet w gruncie nie najgorszych, niemal do wyczerpania wszystkich sił moralnych i fizycznych, w przeciągu jednego dnia; a wy, nieba chyba wiedzą jakim cudem, całe miesiące, lata, nieraz życie całe, ciągle, dźwigacie ten ciężar, mając po nad to wszystkie troski gospodarskie, cierpienia fizyczne, i bole i niepokoje duszy, które nieraz serce wasze przebijają, jak niegdyś serce Matki Najświętszej. I nie upadacie pod tem brzemieniem, i dochodzicie do celu. Żaden oszczerca nie śmiałby wam zarzucić, że nie umiecie steru rządów utrzymać, a jednak łatwiej byłoby rządzić państwem opryszków niż waszem małem królestwem.

Poprzedzający monolog prowadziłem leżąc na łóżku, na które się rzuciłem po odejściu od dzieci. Dalej nie pamiętam co się działo ze mną, póki się na drugi dzień rano nie obudziłem, postrzegając zdziwiony, że dotąd miałem na sobie wczorajsze ubranie; tak wielkiem więc było moje znużenie, że przespałem 12 godzin nierozebrany, tak jak upadłem na łóżko. Drugą niespodzianką tego rana, był list wsunięty szparą pod drzwiami do pokoju. Mógłże to być list od mojej najdroższej? coprędzej pochwyciłem szeroką kopertę, i ujrzałem tylko pismo siostry mej, Heleny, na adresie. Gdym list ten rozkładał, wypadł z niego drugi arkuszyk, na który nie zwróciłem uwagi przeczuwając, że jest listą jakichś rzeczy, które *zapewne będę tak dobrym* spakować i wysłać dla niej.

Czytałem co następuje:

29. czerwca 1875.

„Jakżeżbym chciała módz cię uściskać, drogi braciszku! Taka się czuję szczęśliwa, że mi trudno dać wiarę temu co zaszło. Pomyśleć sobie, że ty pozyskałeś ten wzór dziewcząt, tę Alicją, co tyle partyj odrzuciła, ty, mój prostoduszny, nieromantyczny bracie, to nazbyt zachwycające. Teraz dopiero widzę, że wy doprawdy jak dla siebie stworzeni. Chciałabym się przyznać, że to właśnie w tym celu zaprosiłam cię do Hillerest; ale cóż, kiedy kłamstwo byłoby za grube, bo mi to nawet na myśl nie przyszło, wiedząc z góry, że zawsze tylko za swemi własnemi radami idziesz, i zawsze robisz coś takiego, czego się nikt nie spodziewa. Tym razem jednak przeszedłeś sam siebie.

„Do tego, mówisz mi jeszcze, że to moje dwa aniołki przyczyniły się do waszego porozumienia, a więc część ich zasługi spływa naturalnie

na mnie. Mam nadzieję, że im się wspaniale odwdzięczysz na Boże Narodzenie.

„Mam nadzieję, że nie grzeszę zbyt wielką niedyskrecją, posyłając ci tutaj list od mojej przyszłej bratowej, który właśnie przed chwilą odebrałam. Da ci on poznać powody, jakie ją skłoniły do przyjęcia cię, a które zapewne są całkiem inne niż przypuszczasz; przytem poznasz co ją trwoży i niepokoi, i nie wątpię, że bardzo prędko potrafisz jej obawy uciszyć. Ponieważ jest aż nadto prawdopodobnem, że jako mężczyzna będziesz zbyt tępo widzącym, by umieć czytać między liniami, powiem ci odrazu, że Alicja lęka się czy poddając się tak łatwo nie uchybiła w czem godności własnej lub winnej dumie panieńskiej. Tobie, zdaje mi się, nie trzeba powtarzać, że właśnie na świecie nie ma kobiety, coby więcej miała tych przymiotów.

„Drogi mój Harry, wart będziesz doprawdy spalenia na stosie, jeźli teraz jeszcze nie potrafisz być najszczęśliwszym z ludzi. Spieszy mi się wracać do domu, żeby was dwoje na własne oczy zobaczyć, i nauczyć się wierzyć, że to wszystko jest prawdą!

„Tymczasem, proszę cię, daj odemnie siostrzane uściśnienie Alicji; moje zaś cherubinki ucałuj tak, jakby to chciała stęskniona za nimi matka uczynić.

Twoja Helena.

Coprędzej podniosłem z ziemi ów upadły liścik, i otworzyłem go z należnem poszanowaniem. Brzmiał on jak następuje.

Hillerest, 27 czerwca.

„Droga moja Heleno!

„Zaszło coś niespodziewanego, i jestem bardzo szczęśliwa, choć zarazem trochę niespokojna; a ponieważ ty także jesteś jedną z osób, których to blisko dotyczy, więc wszystko ci wyspowiadam. Harry, twój brat, chcę mówić, pewno ci wkrótce o wszystkiem doniesie, ja zaś spieszę coprędzej zapewnić cię, że dotąd nigdy ani pomyślałam o tem, i że nie zrobiłam najmniejszego kroku w celu doprowadzenia do tego co zaszło między nami.

Zawsze mi się twój brat nadzwyczaj podobał z powierzchowności i ułożenia, i przed innemi pannami nigdy się nie wstydziłam wyjawić tego zdania o nim. Ale odkąd tu bawi, nauczyłam się znać go lepiej, i podziwiać w nim coś więcej. Nie przypuszczam, aby kiedykolwiek robił coś w zamiarze sprawienia, jak to mówią, efektu; gdyby jednak te różne położenia, w jakich mi się tu często ukazywał, były wystudjowane, byłby on bez wątpienia najoryginalniejszym z ludzi, o jakich w życiu słyszałam. Twoje dzieci są prawdziwymi aniołkami, to wiadome, wszak sama mi to mówiłaś, a doświadczenie jeszcze mnie o tem upewniło, jednakże wujcia swego wprowadzają czasem w dość nieprzyjemne kolizje. Widziałam go parę razy w stanie... nie, wolę ci nie opisywać jak wyglądał, mógłby kiedy przypadkiem dojrzeć jaki skrawek tego papieru, i jeszcze się urazić! Ale w każdej, najtrudniejszej chwili, był on dla nich zawsze, tak niezmordowanie cierpliwym, i tak łagodnie wyrozumiałym, że mimowoli pomyślałam sobie nieraz, kto umie być takim dla dzieci, jakże godnym uwielbienia musiałby być dla kobiety, którąby pokochał. Jednak nigdy nie przedstawił mi się nawet cień tej myśli, żebym ja ową kobietą być miała. Nareszcie przyszedł dzień stanowczy, a ja ani przeczuwałam co zajść miało. Twój mały Charley uraził się troszkę w paluszek, i żądał koniecznie, żeby mu Harry zaspiewał śmiesznie bezsensową dziecinną piosenkę, pomyśl sobie, w chwili gdy panicz grał rolę dandysa, wobec dwunastu żebranych panien! O, gdybyś mogła była widzieć twarz jego wtenczas! i tak pociesznie wyglądał, aż dopóki nie zwyciężył niechęci, i nie zajął się prawdziwie cierpieniem malca. Naówczas byłabym chciała, w brew konwenansom, powiedzieć mu, że ma nieocenione serce. W dalszym biegu wypadków, młodszy twój chłopczyna, wylał talerz zupy na moję suknię, (tyko że się tem nie gryź, to prosty muślin doskonale się pierze.) W skutek tego musiałam pójść się przebrać po obiedzie, i przyszła mi fantazja tak przedłużyć toaletę, żeby inne panie odeszły bezemnie na zwykłą przechadzkę, a ja żebym mogła, dla siebie samej mieć gentlemana przez całe pół godziny, o co w Hillerest nie bardzo łatwo. Ile razy wyjrzałam przez okno dla przekonania się czy już panie poszły, widziałam go zajętego dziećmi. Nareszcie gdym wyszła, spostrzegłam, że był zachwycony mojem ubraniem, a komplement z ust takiego człowieka, to przecież coś znaczy. W ogóle, w całej naszej następnej rozmowie, każde słowo z ust jego, zdawało mi się mieć stokroć więcej wartości, niż gdyby je mówił ktokolwiek z innych mężczyzn. Naraz, twój Edwardek zbliżając się do nas, chciał mi koniecznie powtórzyć rozmowę, którą tego rana miał o mnie ze swym wujciem, to wywołało oświadczyny Harrego. Nie nagadał mi on oklepanych exaltacyj romansowych, których wiesz jak niecierpię, ale mówił otwarcie i po męzku; ja zaś tak się ujrzałam nagle zaskoczoną, że na razie nie mogłam znaleźć słowa odpowiedzi. Potem, wystaw sobie, pocałował mnie zuchwalec, a ja jeszcze gorzej zapomniałam języka. Gdybym się była przedtem domyślała jego uczuć, byłabym się jakoś przygotowała, żeby się znaleźć przyzwoiciej; ale, o Helenko! lepiej już żem nic nie wiedziała; dobrze jest tak, jak jest. Byłabym najszczęśliwszą osobą na świecie, gdyby nie obawa że ty i twój mąż możecie myśleć, żem się zbyt łatwo zdecydowała, co do innych ludzi postaramy się żeby się nikt o tem nie dowiedział, aż przynajmniej za parę miesięcy.

„Napiszże mi, droga moja, że nie postąpiłam nagannie i wolą i niewolą, przyjmij mnie w sercu za siostrę, bo choć sobie może kogo innego dla Harrego upatrzyłaś, ja się go już zrzec *nie mogę*.

Twoja przyjaciółka

Alicja.

Byłoż kiedy rozkoszniejsze przebudzenie! Natura swawolnego studenta obudziła się we mnie nagle, i zamiast robić wszystko co romansowi kochankowie zwykli w podobnych razach, ja wykrzyknąłem „Hurrah“ z całej piersi, i wpadłem w takich susach do pokoju chłopców, że Edwardek usiadł na łóżku i patrzał na mnie zgorszonym wzrokiem a Charley wybuchnął wesołym śmiechem. Potem spostrzegłem, że deszcz już ustał, a pogodne niebo dawało obietnicę, że dzieci do obiadu same się zabawić potrafią, a potem, że będę mógł raz drugi wywieść Alicją na spacer. Nagle przypomniałem sobie z boleścią, że urlop mój zbliżał się do końca, i uczułem niecierpliwą żądzę dowiedzenia się jak długo Alicja ma jeszcze w Hillerest zabawić.

Byłoby okrucieństwem pragnąć jej powrotu do miasta przed końcem sierpnia, a jednak...

— Wujciu Harry — przemówił Edwardek, mój tata powiada, że to nie ładnie gdy kto siedzi i myśli z rana, za nim sobie włosy uczesze — tak mnie mój tato powiada.

— Przepraszam cię Edwardku — zawołałem zrywając się trochę zmięszany. — Zamyśliłem się o bardzo ważnej rzeczy.

— O czem, o moim koźle?

— Ale cóż znowu! nie bądźże głupim Edwardku.

— Ja o nim bardzo dużo myślę, i wcale mi się nie zdaje, żeby był głupi. Pewny jestem, że jak umrze to pójdzie do nieba. Wujciu, czy wózki aniołków są zaprzężone kozłami?

— Nie, mój chłopcze, aniołki jeżdżą bez wózków.

— Jak ja pójdę do nieba, to będę miał dużo, dużo karetek z kozłami i będę aniołków woził na spacer — mówił Charley wyłażąc z łóżka.

Te, i tym podobne proroctwa, i opisy niebieskiej kainy raczyły mnie przez cały czas ubierania się; nareszcie, wyrwałem się na świeże powietrze, żeby trochę zebrać myśli bez przeszkody. Przechodząc przez dziedziniec gospodarski, spostrzegłem poważnie leżącego żółwia, wziąłem go w rękę i wołając na moich siostrzeńców, podniosłem go w górę dla pokazania im. Jednogłośnie choć harmonijne „Och!“ „Ach!“ zachwytu, powitało moją zdobycz z okna sypialnego pokoju.

— Zkądżeś to dostał wujciu Harry?

— Znalazłem koło kurników.

— Nie rozumiem, jak kury mogły znieść coś tak wielkiego. Włóż to do twego kapelusza zanim nie zejdę na dół; zaraz idę.

Oddawszy żółwia pod opiekę Edwardka, poszedłem przejść się w ogród kwiatowy. Kwiaty zawsze dla mnie pełne wymowy zdawały się dzisiaj mieć nowe uroki i władze, tak dalece, że nawet natchnęły mnie, trzeźwego komisanta handlowego, ochotą składania rymów!

Popęd ten zbyt był silnym, żeby mu się módz oprzeć, choć owoc jego był nadzwyczaj mizerny:

Świetna jak róży purpura młoda,
Wielbiona poetów słowy;
Wdzięczna jak lilii biała uroda,
Skromna jak fiołek dąbrowy;
Czystsza nad rosy perły tęczowe
Lśniące w kielichach co ranka;
Słodsza nad wszystkie wonie kwiatowe,
Alicja, moja kochanka.

Przytaczając ten urywek, nie myślę wcale kazać go podziwiać czytelnikowi, ale w dalszym ciągu mojej opowieści będzie on jeszcze grał rolę.

Wyczerpawszy natchnienie temi kilku rymami, przypomniałem sobie dopiero, że nie mam ołówka aby je utrwalić na papierze; narazić się na utracenie mego pierwszego arcydzieła niepodobna! postanowiłem powtarzaniem wbić go sobie w pamięć na zawsze, i wpadając w zapał zacząłem głośno deklamować, tę parodją poezji. Gdym ją nie wiem po który już raz powtórzył, wezbrane moje uczucia zaczęły wylewać się w gestach zapału.

Raz, dwa, dziesięć, dwadzieścia razy, powtórzyłem słowa i ruchy, gdy naraz cienki głosik zauważył za mną:

— Wujciu Harry — całkiem tak robisz rękami jakbyś pływał.

Obejrzałem się i spostrzegłem siostrzeńca mego Charleya, jak długo już stał za mną, nie mogłem zmiarkować. Spojrzał poważnie w moje oczy, a potem wyrzekł:

— Wujciu Harry, masz twarz czerwoną, jak bukiet róż.

— Chodźmy na śniadanie — rzekłem głośno, nie rad z nadzwyczajnego zmysłu spostrze-

gawczego, jaki mają Toma dzieci. Natychmiast po śniadaniu, wyprawiłem Michała z bilecikiem do Alicji, w którym pytałem czy mogę się stawić z powozem o drugiej, bo byłbym bardzo szczęśliwy gdybym ją mógł zawieść do wodospadów. Potem oddałem się całkiem na rozkazy chłopców, pod warunkiem, że się zgodzą obejść się bezemnie między drugiem śniadaniem a obiadem. Najpierw kazano mi zaprządz kozła, a potem czuwałem nad nimi, gdy tam i nazad jeździli po dziedzińcu. Nienasmarowane koła wózka skrzypiały w tak przeraźliwy sposób, jak jeszcze nigdy nie słyszałem; po godzinie takiej muzyki, czując, że mi chyba głowa pęknie, namówiłem chłopców, żeby zleźli; i dla spokoju dawszy im tymczasem zajęcie w rozbieraniu kozła z uprzęży, sam wziąłem się do smarowania osi. Pół godziny tej wcale nie salonowej roboty, wystarczyło, przy pomocy młodzieńczych rad łaskawie mi udzielanych do objęcia zamierzonego celu, a gdym rogatego rumaka po raz drugi przywiązał do dyszla. Edwardek trzasnął z biczyka, wózek się potoczył bez skrzypienia, Charley nagle wybuchnął płaczem.

— Wózek całkiem popsuty — mówił wśród łkania, — biedne kółka już ani pisną, ani trochę nie spiewają.

W dalszym ciągu poranka Edwardek zapytał:

— Wujciu Harry, czy ty wiesz co to jest grzmot.

— Tak Edwardku, jak się dwie chmury trącą, to robią dużo hałasu, i to się nazywa grzmotem.

— Otóż wcale nie! gdy wczoraj grzmiało, to dlatego, że Bozia sobie jechał na spacer, i koła od wózka turkotały po niebie i to był grzmot.

— Brzydki, stary grzmot, nie lubię go — oświadczył Charley — bo włazi do naszej piwnicy i kwasi śmietankę, Małgosia mi to mówiła. I potem nie mogę mieć herbaty z mleczkiem na śniadanie.

— Ale pewno chociaż grzmot kwasi mleko w piwnicy, chciałbyś zobaczyć Bozię, gdy tak sobie jedzie na spacer a wszystkie aniołki biegną za nim. A potem to tak ślicznie, gdy się wózek trąci o kamień.

— Jakżesz to możesz widzieć Edwardku? — spytałem.

— O, nie wiesz? przecie gdzie wózek Bozi trąci o kamień, to widać takie strasznie jasne miejsce na niebie, bo jak taki ciężki wózek podskoczy, to zaraz pęka podłoga nieba i przez te maleńkie szpary można zajrzeć do środka. Tylko nie rozumiem dlaczegom nigdy nikogo przez te szpary nie zobaczył, wujciu Harry?

— Nie wiem, mój chłopcze, pewnie dlatego, że te jasne miejsca na niebie, to nie żadne szpary; to tylko taki ogień co Pan Bóg w chmurach zapala. Będziesz się uczył o tem wszystkiem jak wyrośniesz.

— Ach, to mi będzie okropnie żal, jak to nic innego tylko ogień — wiesz przecież jak to tata ładnie spiewa: „Grzmoty i błyskawice głoście Pana pochwały".

Rzekł to z tak smutną minką, że i mnie żal się zrobiło zawodu jego dziecięcej wyobraźni i mimowolnie uściskałem go z całego serca. W jednej chwili zbudziła się w nim znów natura chłopaka.

— Wujciu Harry wrzasnął mi nad uchem: ty leź na czterech nogach po ziemi, i udawaj, że jesteś koniem, a ja będę na tobie jeździł.

— Nie, dziękuję ci Edwardku; nie w tem błocie.

— Więc bawmy się w menażerją, a ty będziesz wszystkie zwierzęta.

Na ten plan przystać już musiałem, i usunąwszy się w najodleglejszy kąt domu, żeby nikt nie spostrzegł kto będzie ten piekielny hałas swoim głosem sprawiał, zacząłem udawać różne boże stworzenia. Byłem naprzemian niedźwiedziem, lwem, żebrą, słoniem, psem, coraz to innego gatunku i kotem. Gdym grał rolę tego ostatniego Charley zaczął mnie echem nasladować.

— Miau! miau! tak mówią kotki gdy płyną po wodzie.

— Oho! on się na tem zna paniczu — zawołał Filip, który się wprosił na widza i brał czynny udział głośnymi oklaskami, które towarzyszyły produkcji każdego czworonoga. — Czybyś uwierzył, master Harry, że ten smarkacz wyrwał się raz za bramę, jeszcze przed wschodem słońca, i jak stał w koszuli, przeszedł na przeciwko do doktorów, podniósł małe kocie co na progu przed kuchnią leżało i cisnął do studni. Pana doktora nie było w domu, ale pani to zobaczyła i taką miała czułość w sercu, że zaraz kazała rzucić deskę na wodę, żeby biedna bestyjka miała się na czem utrzymać. A potem kazała spuścić kosz i wyciągnąć zmokłą kociurkę, a jak jeno ją dostali, tak się przewróciła na trawę i zdechła. Cała ta sprawa kosztowała pana Lawrance 30 dolarów, żeby zaspokoić pretensje doktorstwa.

— Tak — potwierdził Charley, który opowiadaniu Filipa przysłuchiwał się z należytą uwagą.

— I kicia mówiła — Miau! miau! gdy pływała po wodzie. A pani doktorowa mówiła: Zły chłopczyku, idź precz, nigdy mi się w moim domu nie pokazuj, tak pani doktorowa mi mówiła. Teraz bądź jeszcze zwierzętami, wujciu Harry. Bądź teraz wielorybem.

— Wieloryby nie mają żadnego głosu Charley'u, tylko pluskają się w wodzie.

— To wleź do basenu i pluskaj się, dobrze?

(C. d. n.)

KORESPONDENCJE

Genewa 2. marca 1879 r.

Polityczne spory roznamiętniające się coraz więcej przygłuszyły cokolwiek wrzawę literacką, jaką ściągnął był na siebie Emil Zola. Pisuje on oddawna miesięczne paryzkie kroniki do rosyjskiego *Wiestnika Europy*. W jednym z ostatnich zeszłorocznych jego numerów, Zola całą swoją kronikę poświęcił tegoczesnej francuskiej powieściowej literaturze, analizując przejawiające się w niej prądy i oceniając wybitnych pisarzy w ogólnych zarysach. Oczywiście, że Zola jako w pewnym względzie przewódca szkoły, którą sam nazwał *naturalistyczną*, chwalił Flaubert'a, Goncourt'ów, Alfonsa Dandet'a, Duranty'ego, a ganił pisarzy romantycznego i idealistycznego kierunku. Kronika ta bardzo zajmująca a nawet i pouczająca, minęłaby była nieznana dla Francuzów, jeśliby szwajcarskie miesięczne pismo, wychodzące w Lozannie p. t. *Bibliothèque universelle et revue suisse*, nie zwróciło było na nią powszechnej uwagi. Literaci, o których Zolla nie z wielkiem odzywał się uszanowaniem, mocno się oburzyli; a pierwszy atak przypuścił do niego Boisgobey, o którym autor „Kartki miłości" wyraził się nawet grzecznie, że pisuje swoje romanse staranniej od innych fejletonistów. Boisgobey umieścił swoją zaczepkę w dzienniku *Figaro*. Zola odpowiedział w *Voltairze* a równocześnie brulion inkryminowanej kroniki posłał do *Figara*, który osobny dał dla niej dodatek. Dopiero teraz zerwała się burza. Napastowano Zolę ze wszystkich stron, słusznie i niesłusznie a zawsze namiętnie. Zwłaszcza zawziętością odznaczył się Ludwik Ulbach. Do tej domowej wojny wmięszali się cudzoziemcy i jeszcze bardziej ją roznamiętnili. Z pomiędzy niesłusznych zarzutów, czynionych Zoli, najwięcej napierano na to, że jako były księgarski subiekt mierzy wartość książki mniejszą lub większą sprzedażą. Tymczasem to nieprawda. Chwali on romanse Champfleyry'ego, lubo przytem dodaje, że sprzedają się zaledwie w 400 egzemplarzach; nie składa hołdu ani Verne'mu, ani Erckmann-Chatrian'owi, chociaż powiada, że dzieła ich drukują się w stutysiącach egzemplarzy. Liczby sprzedawanych egzemplarzy służą u niego dla wskazania, w którą stronę gust francuski zwracać się poczyna. Otóż z tych liczb widzimy, że szkoła naturalistyczna coraz większe koła czytelników wabi ku sobie. I liczba też powieści naturalistycznych mnoży się. Właśnie świeżo pojawiły się tej samej barwy: „Elisabeth Conronneau" Leona Hennique'a i „Madame Bécart" Vost- Ricconard'a z przedmową Emila Zoli. O powieściach tych napiszę obszerniej.

Wrzawę, którą kronika Zoli wywołała, najlepiej wyzyskał *Figaro*, mistrz we wszelkiego rodzaju wyzyskiwaniach. Dodatek z kroniką inkryminowaną rozkupiono w mgnieniu oka. Zainteresowawszy publiczność Zolą, w jednym z numerów podał bardzo ciekawe o nim szczegóły. Jak wiadomo, Zola był księgarskim subjektem, gdy debiutował na polu literackiem. Mając już pewną wziętość, udał się do księgarza Lacroix i przedstawił mu swój plan całego szeregu powieści o rodzinie Rougon'ów Maquartów, zobowiązując się dostarczać co rok dwa tomy powieści a natomiast żądając stałej pensji miesięcznej w kwocie 500 franków. Lacroix przyjął te warunki, wkrótce jednak zbankrutował i odprzedał księgarnię swoją Charpentier'owi. Zola bardzo powoli pisze; maże, przekreśla, drze i nanowo pisze. Stało się więc tak, że zamiast obiecanych dwóch tomów oddawał jeden i w ten sposób pozostał dłużny Charpentier'owi 2000 franków. Razu pewnego księgarz ten zaprosił Zolę do siebie i wskazując na kontrakt — rzekł: na książkach pańskich zarobiłem taką kwotę, uważam więc umówione wynagrodzenie za niesłuszne, z tego powodu przyznaję panu następny jeszcze procent, masz więc pan u mnie, po potrąceniu zaległych 2000 franków, jeszcze 2000 franków, które panu obecnie wypłacam. Odtąd Zola urządził życie swoje wcale dostatnio. Mieszka na Bati'gnolu w domku nawpół wiejskim, otoczony ptactwem domowem, które często sam karmi. Przyzwyczajenia ma spokojne, życie pędzi regularne. Pozostaje oddawna w najściślejszych przyjaźnych stosunkach z Flaubert'em, Goncourt'ami, Alfonsem Daudet'em, Guilemet'em; następnie dołączyli się także do kółka tego Maret i Duranty. Zola ma wyznaczone godziny pracy, których ściśle pilnuje się: przed obiadem pisze powieści, po obiedzie rozmaite inne dziennikarskie artykuły. Z tego powodu rozgniewani literaci nazwali go wyrobnikiem; sam zaś on nazywa siebie robotnikiem, mówiąc że cała jego zasługa należy się

nie fantazji, ale pracy. Zola jest bardzo surowy dla siebie samego. „Całe tygodnie—pisze w jednem miejscu — bywam tego przekonania, że jestem idjota, i bierze mię chęć podarcia rękopismów moich. Niema człowieka więcej nademnie niedowierzającego sobie. Pracuję gorączkowo, z nieustannym strachem, że nie zadowolnię samego siebie. Jest to istotna prawda."

Na złość literatom i krytykom, wziętość Zoli rośnie. Jego *L'assommoir*, wydany niedawno rozchodzi się w ogromnej liczbie egzemplarzy. Tenże samy *L'assommoir*, przerobiony na sztukę teatralną, ma wielkie powodzenie w teatrze Ambigu. Było to niespodzianką niemal dla wszystkich. Żartowano z usiłowańwprowadzenia szkoły naturalistycznej na deski teatralne, wróżono jej nieochybny upadek. Na pierwsze przedstawienie zbiegła się nader licznie publiczność w oczekiwaniu jakiegoś skandalu, mówiono nawet o wygwizdaniu sztuki. Tymczasem, pomimo uprzedzeń i niechęci, wywarła ona odrazu korzystne wrażenie. Przeciwnicy powiadają, że zawdzięcza to jedynie znakomitej grze aktorów. Zwolennicy zaś szkoły naturalistycznej, których liczba z dniem każdympowiększa się, mówią, że *L'assommoir* będzie stanowić epokę w dziejach teatru, zwracając dramat ku naturalizmowi.

Nędza ludu, której straszny obraz skreślił Zola w powieści *L'assommoir*, dała temat Pawłowi Heury'emu do czterech rzewnych i ładnych powiastek, które wydał pod ogólnym tytułem: *„Un coin de la vie de misère."* W pierwszej powiastce *„Antoine Mathieu"* autor opowiada smutną historję życia górnika; bohaterem drugiej *„Pierre Benoit"* jest pastuch kulawy: trzecim *„Fille de Jérome Hattu"* zawiera zwykłe dzieje ubogiej dziewczyny, która daje się uwieść; czwarta *„Vieille marchande de plasirs"* (stara straganiarka z ciastkami) przedstawia melancholiczne opowiadanie zgonu wdowy po proletarjuszu, który wraz z synem poległ w walce na barykadach. Powiastki te jakąż smutną i bolesną są krytyką dzisiejszych społecznych stosunków, gdzie tyle niezasłużonego widzimy nieszczęścia! *B. L.*

Piśmiennictwo polskie.

(*J. I. Kraszewskiego. Powieści historyczne. VI. Synowie królewscy, powieść z czasów Władysława Hermana i Krzywoustego.*)

Po tragicznym skonie Bolesława Szczodrego objął panowanie nad skołataną nieszczęściami polską ziemicą brat pokutnika z Ossiaku, Władysław Herman. Poczciwe to było książę, ale nie do miecza, nie do berła. Chorowity, słabego charakteru, dał się zupełnie opanować żonie swej Judycie, w której żyłach płynęła krew cesarzów rzymskich i wojewodzie Sieciechowi, człowiekowi walecznemu, ale niepomiernej ambicji i żądzy panowania. Sieciech daleko jeszcze większy niż na króla, wywierał wpływ na królowę, z którą łączyły go ścisłe stosunki. Łatwo sobie wyobrazić, że rządy takie nie mogły się podobać ludowi: Sieciech faworyzował tylko swoich krewniaków i zauszników gnębiąc innych ziemian, których uważał za swoich nieprzyjaciół. Nie długo jednak trwać miało panowanie kamaryli, na dworze Hermanowym wyrastał przyszły bohater Polski, oswobodziciel kraju od tyranji wewnętrznej i zewnętrznych wrogów. Bolko, którego od rozciętych ust nazwano Krzywoustym, urodzony z Judyty czeskiej, wychowany między wojakami, już od najmłodszych lat okazywał, że będzie pierwszym swego czasu wojownikiem. Całe dnie przepędzał w borach oganiając z młodocianymi towarzyszami za dzikiemi zwierzęty, a w jedynastym roku życia odbył już pod wodzą Sieciecha kampanję przeciw pogańskim, łupieżczym Pomorcom. Oprócz Bolka miał Władysław starszego syna, zrodzonego z nieuznanego przez kościół związku z niejaką Hanną. W owych czasach kościół patrzał jeszcze przez palce na związki nieślubne, a w oczach ludu miały one takie same znaczenie, jak śluby przez kościół pobłogosławione. Władysław, kochający gorąco Bolesława, wiedząc przy tem z doświadczenia, do czego w owych czasach prowadził podział państwa, postanowił usunąć Zbigniewa i jak to było w zwyczaju oddał go do odległego, saskiego klasztoru. Tymczasem w Polsce szło wszystko dawnym trybem, młody Bolko oddawał się rycerskim zabawom. Król się modlił i budował kościoły, Sieciech z Judytą panowali. Sprzykrzyła się nareszcie ziemianom rejencja dumnego wojewody, z palatynem wrocławskim, Magnusem, na czele sprowadzili z klasztoru Zbigniewa i domagali się od króla przypuszczenia do praw synowskich a zarazem usunięcia Sieciecha. To ostatnie nie udało im się, natomiast pierwsze ich żądanie pomyślnym zostało uwieńczone skutkiem. Władysław przyjął Zbigniewa i zrównał go pod względem praw jak i swojej ojcowskiej miłości z rycerskim Bolkiem. Gdyby Herman był wiedział ile zgryzot i nieszczęść przyniesie Zbigniew jemu i krajowi z pewnością byłby go kazał napowrót osadzić między mnichami. Od pierwszej chwili pojawienia się Zbigniewa na dworze rodzica rozpoczął się antagonizm między oboma braćmi. O ile Bolko był obdarzony wszystkiemi najpiękniejszymi przymiotami chrześcijańskiego rycerza, wspaniałomyślnością, odwagą, prawością, o tyle Zbigniew, którego szydersko przezwano klerykiem, był skryty, podstępny, a zarazem egoista i tchórzliwy. Na każdym kroku widział nad sobą wyższość brata, ale ta zamiast uwielbienia wzbudzała w nim tylko zazdrość i nieubłaganą nienawiść. Z szatańską radością Sieciech z Judytą śledzili tę uporczywą waśń braterską. „Jeden drugiego zniszczy," myślał w duchu Sieciech, „a po śmierci słabowitego króla, ja ożeniony z jego wdową zasiądę złoty tron Chrobrego." Zawiodły go jednak rachuby. Ulegając wpływowi duchowieństwa, które od czasu katastrofy biskupa Stanisława Szczepanowskiego w wzmocnieniu się władzy królewskiej widziało niebezpieczeństwo dla siebie, rozdzielił Władysław dzielnice swoje między obu synów, zostawiając dla siebie tylko zamek płocki i zwierzchniczą władzę nad młodymi książęty. Panowanie obu młodych książąt różniło się wielce od siebie: Zbigniew gnuśniał na swojej dzielnicy wśród niemieckich nałożnic i knuł niecne spiski przeciw Bolkowi, ten zaś bez odpoczynku walczył z nieprzyjacioły jak wódz i żołnierz i to zawsze zwycięzko. Laury Bolkowe pobudzały zazdrośnego Zbigniewa tylko do nowych knowań. Tymczasem Sieciech widząc, że młody Bolesław coraz więcej zyskuje sławy i miru u ziemian postanowił pozbyć się go za pomocą skrytobójstwa. Na szczęście wydała się zdrada i Bolko połączywszy się z drużyną Zbigniewa ruszył naprzeciw Sieciecha, pod którego władzą ciągle jeszcze stary Władysław spoczywał. Oblężono Płock. W chwili jednak, gdy już miało przyjść do rozlewu krwi bratniej, biskupi i najcelniejsi z ziemian, nieprzyjaznych ogólnie Sieciechowi, doprowadzili do zgody między ojcem i synami. Sieciech poszedł na wygnanie na Ruś, aby już nigdy więcej nie ujrzeć kraju rodzinnego. Po usunięciu wspólnego wroga, antagonizm pomiędzy synami królewskimi, zamiast złagodnieć, zaostrzył się jeszcze bardziej. Śmierć Władysława Hermana dała nowy impuls do kroków nieprzyjacielskich: jeszcze niezastygłe zwłoki rodzica leżały na ostatniem posłaniu, gdy się wszczął spór między braćmi o dzielnicę płocką i skarbiec królewski.

Powód do kłótni dał Zbigniew, który tym razem wystąpił jawnie z swemi prawami pierworodztwa, nie chciał mu ustąpić Bolko. Udało się załagodzić sprawę i rada biskupów i ziemian przyznała Bolkowi dwie trzecie części skarbów, ten jednak dobrowolnie zaofiarował bratu równy podział, zabrał tylko koronę królewską Chrobrego, szczerbiec i włócznię św. Maurycego, której używał Bolesław I. jako berła. Znowu mijały lata... Zbigniew ciągle intrygował, Bolko zaś wodził swe hufce do boju i zwycięstwa, broniąc swoich i braterskich dzielnic. Naprożno wzywał bohater Zbigniewa, aby z nim razem ciągnął na wroga, ten się ciągle wymawiał i nie chciał mu nawet dawać posiłków. Postępowanie takie osłabiło zupełnie znaczenie pierworodnego syna Władysławowego. Zbliżamy się do katastrofy... W nieuskromionej złości postanowił Zbigniew zgładzić brata... Namówił Pomorców, aby wciągnęli go w zasadzkę, gdy będzie bawił na północnych kresach kraju na weselu jednego ze swych druhów... W kilkadziesiąt koni wyruszył Bolko do granicy pomorskiej na łowy, wtem widzi się otoczonym ze wszech stron niezliczonymi tłumami dzikich wrogów. Rozpoczęła się walka straszliwa, ale męstwo Bolesława i jego rycerskiej drużyny dozwoliło mu przebić się z kilkoma rycerzami... Jawną była zdrada Zbigniewa. Bolko wezwał go do odpowiedzialności, ten jednak czując swoją winę umknął na dwór cesarza Henryka V. Awanturniczy cesarz postanowił ująć się za sprawą wyrodnego brata i przy tej sposobności zmusić Polskę do hołdu, do którego cesarze, jako rzekomi panowie całego świata, rościli sobie zawsze prawo. Na prośby Zbigniewa, który wynik wyprawy przedstawiał w najróżowszych kolorach, wyruszył Henryk na czele licznego rycerstwa niemieckiego i czeskiego na Polskę. Popłoch padł na Polanów, urok imienia cesarskiego był wielki, siły jego uważano za niezwyciężone. Zwołana przez Bolesława rada wojenna oświadczyła się za zwołaniem trybunału. Oparł się temu Bolesław i postanowił wojną partyzancką zniszczyć hufce Henrykowe. Rozpoczęła się dziwna wojna.. Żelazne szeregi wojsk cesarskich postępowały przez kraj ogołocony ze wszystkiego, trapione napadami, dziesiątkowane głodem i chorobą. Nieprzyjaciel ciągle je otaczał, urywał, niszczył, ale nie chciał wdać się w walną bitwę. Pokusił się Henryk, o mały gródek, Głogów, został odparty ze wstydem i znaczną stratą. Karność się rozprzęgała, żołnierze Henrykowi zdumieni dzielną strategją nieprzyjaciela, nucili pieśni wysławiające Bolesława. Znużone, wycieńczone wojsko niemieckie dociągnęło pod Wrocław. Nowy cios. Czesi przerażeni skonem wodza swego Świętopełka, który zginął skrytobójczo z ręki jednego ze swych nieprzyjaciół, opuścili cesarza... Nie było co dalej poczynać. Upokorzony Henryk nakazuje odwrót... Wtem jak piorun spada nań

Bolko i rozbija go w puch... To „Psie pole"... W ten sposób skończyła się niefortunna wyprawa Henryka na Polskę... Zbigniew umknął do Czech, wkrótce jednak upokorzył się przed bratem i uzyskał przebaczenie... Wspaniały Bolesław dał zdrajcy zameczek wraz z niewielką dzielnicą, a ten uroczyście poprzysiągł mu uległość i uczciwość. Nie dotrzymał jej jednak, znowu zaczął knuć spiski i połączył się z Pomorcami, nieubłaganymi wrogami chrześcijaństwa i Polski... W walce z Pomorcami pochwycono go na gorącym uczynku. Spełniła się miarka nieprawości. Oburzony lud domagał się zasłużonej kary na krzywoprzysięzcę. Bolko szanował związek krwi, nie chciał sam go karać, uległ jednak naleganiom starszyzny i polecił im uczynić z nieprzyjacielem to, co będą uważali za najodpowiedniejsze dla dobra kraju... Zebrali się władycy na sąd, i wydali wyrok straszny: miano mu wyjąć oczy, aby raz na zawsze uczynić go nieszkodliwym. Przystąpiono do wypełnienia wyroku; zbrodniarz miotał się, błagał, groził, tracił zmysły, nic nie pomogło... Władycy korzystając z nieobecności Bolesława, który byłby się dał zmiękczyć, kazali katom natychmiast wyrok wykonać. Zbigniew zaczął się bronić... Rozpoczęła się straszna walka w podziemnem więzieniu między nim a oprawcami. W rozpaczliwej walce Zbigniew nabrał sił nadludzkich, bronił się jak tygrys, wyrwał jednemu z oprawców nóż i uderzył głównego kata w pierś, gruba odzież skórzana udaremniła cios zabójczy... W tej chwili rozwścieczony kat, żelazem do wyjmowania oczu, ugodził Zbigniewa... Ostrze utkwiło w sercu. Zbigniew padł bez ducha... Wiadomość o śmierci brata uczyniła na Bolku okropne wrażenie, a gdy pierwsza boleść minęła, rozpoczął Krzywousty ostrą pokutę, aby przebłagać Boga za śmierć braterską...

Oto krótka treść czterotomowej opowieści. Nie ma w niej żadnego zawikłania, ani intrygi miłosnej, a jednak czyta się z najwyższem zajęciem od pierwszej stronicy do ostatniej. Charakterystyka osób jest w niej może najlepszą, ze wszystkich dotychczasowych powieści, najbardziej wykończoną a zarazem prawdziwą we wszystkich szczegółach. Postaci obu braci, starego króla, Sieciecha i ubocznych osób, są nałożone tak żywemi barwami, że występują z tła, czujemy ich oddech, bicia serca i kurczowe drgania namiętności. Z ubocznych figur najlepiej wydaje nam się zausznik Zbigniewowy, Marko Sobiejucha, protoplasta owych szlachciców o dużej gębie, a małem sercu, na pół komiczny a na poły odrażający. Prawdziwy ton epicki pełen siły i prawdy wieje z każdej karty „Synów królewskich", porywa czytelnika, unosi w świat pełen poezji, wielkich namiętności i wielkich czynów... Uważamy za zbyteczne przedłużać nasze sprawozdanie ogólnikowemi pochwałami, powiemy więc tylko, że jeżeli za którą powieść historyczną, to z pewnością za „Królewskich synów" zasługuje Kraszewski na miano polskiego Walter-Scotta.

B. Cz.

KRONIKA NAUKOWA.

Posiedzenie Towarzystwa Przyrodników imienia Kopernika z dnia 18. marca r. b. Dr. Strzelecki, o Jemiole, A. Strzelbicki o katastrofie wielickiej; Dr. B. Radziszewski nowe zjawiska fosforescencji.

Ostatnie wtorkowe posiedzenie Towarz. Przyrodników, należało do najbardziej ożywionych i zajmujących.

Na początku mówił Dr. Henryk Strzelecki, o tem, w jaki sposób jemioła psuje drzewo i przedstawił liczne okazy drzew podziurawionych wypustkami pasożytnego zielska. Rzecz to jednak nadto specjalna, byśmy ją mogli w Tygodniu, bez rycin, poruszać.

Po szanownym i zasłużonym Dyrektorze Szkoły lasowej, miał p. A. Strzelbicki, sekretarz krajowej Dyrekcji Skarbu, dla spraw salinarnych, odczyt o zalewie Wieliczki. Piękny sposób mówienia, nadzwyczajna jasność przedstawienia tej tak ważnej, a dość zawikłanej sprawy, niezmiernie zajęły słuchaczów, którzy z natężeniem uwagi słuchali opowieści o nieszczęściach, które od roku 1868 nawiedzają najbogatszą z naszych żup solnych. Pozwolimy sobie powtórzyć wybitniejsze miejsca wykładu, za prelegentem.

Wieliczka już kilkakrotnie w dawnych czasach była zalewaną. Pozostały po tem liczne ślady, między innemi owe bryły solne zawierające wewnątrz siebie, w krystalicznem gnieździe, wodę.

Lecz te dawne zalewy nie są znane, a dopiero dwa ostatnie z roku 1868 i roku bieżącego zostały starannie i szczegółowo zbadane.

Pokłady soli w Wieliczce mają formy najrozmaitsze. Raz sól rozkłada się w warstwach, między marglem i piaskowcem tak cienkich, że dobywanie ich nie opłaci się wcale, chyba tylko w zgrubiałych fałdach; to znów spotykamy ją w warstwach bardzo potężnych, a nieraz w olbrzymich bryłach, z których wiele zostało wyeksploatowanych i tworzą one obecnie owe wielkie komory zwiedzane i podziwiane przez podróżników.

Wydobywając sól z łona ziemi, wybudowano z czasem całą sieć podziemnych „chodników" leżących w różnych głębokościach pod powierzchnią ziemi. Chodniki takie przecinają się zwykle mniej więcej pod kątem prostym i ich główny kierunek jest od południa na północ oraz od zachodu na wschód. System chodników leżących w jednej głębokości nazywa się „poziomem." Pionowa studnia przez którą się dostaje do tych poziomów, nosi nazwę „szybu." Podajemy tych kilka nazw technicznych, aby potem módz króciej się wyrazić i nie potrzebować zdań opisowych.

Granica kopalni wielickiej nie jest dotychczas dobrze znaną. Starano się ją znaleźć, wydłużając chodniki w rozmaitych kierunkach, lecz zwykle natrafiano na wodę i trzeba było przerywać roboty pogłębiania i stawić odpowiednie tamy. Takich zatamowanych chodników znajduje się w Wieliczce kilkanaście.

Wydłużenie chodników rozpoczęto na nowo, gdy została odkrytą sól potasowa w Stassfurcie i gdy na podstawie tego minister skarbu, kazał szukać jej w Austrji. Zarząd salinarny wielicki wypracował w r. 1866 odpowiedni projekt, ministerstwo go przyjęło i rozpoczęto roboty w głębokości 216 metrów pod poziomem ziemi, w tak zwanym chodniku „Kloski". Chodnik ten do owego czasu miał 120 metrów długości i przerzynał w swym biegu poziomym ku północy pokłady marglowe, soli krystalicznej, soli nieczystej i wreszcie margle zielonkawe z gniazdami soli. Gdy go zaczęto wydłużać, natrafiono na pokłady marglów sięgające aż do 216 metra długości. Dalej znaleziono piaskowiec z gniazdami pirytu. Na 238mym metrze okazała się w podłodze chodnika woda. Zarządca robót, kazał natychmiast na to miejsce przywieść iłu do tamowania i udał się z zapytaniem do zarządu głównego, czy ma dalej prowadzić robotę. Liczne powody, mające realne podstawy, skłoniły zarząd do wydania rozkazu dalszego wydłużenia chodnika „Kloski".

Działo się to w drugiej połowie listopada 1868 r. Dnia 20go wybuch wody wzmógł się, 21go jeszcze bardziej a dnia 22go nastąpił wytrysk gwałtowny i wody wydobywało się 6 metrów sześciennych na minutę. Wtedy nie pozostawało nic innego, jak postawić tamę, lecz przy wytrysku nie dało się to uczynić; więc opuszczono cały chodnik i tylko na samym jego początku wystawiono trzy tamy ceglane, zaopatrzone rurą dębową z klapą do odpływu nadmiaru wody. Lecz i to okazało się bezużytecznem, bo woda rozmiękczyła ściany i bokiem się przelewała. Został jeden środek uchronienia się od zalewu: pompy,—lecz nie było ich pod ręką w wystarczającej sile. Zamówiono więc potężne pompy a kolej pożyczyła swej parowej machiny o sile 250 koni. W oczekiwaniu tych aparatów, myślano jeszcze ciągle o tem, czyby się nie dała zbudować nowa tama.

W kwietniu przyszły machiny i do czerwca wypompowano wodę z kopalni, aż do poziomu chodnika Kloski. Wtedy postanowiono jeszcze raz dostać się do końca chodnika i tam stawić tamę. Zaczęto w tym celu budować chodnik równoległy do „Kloski" i chciano nim z boku podejść. Zbliżono się u końca ku jego ścianie, lecz nacisk był tak wielki, iż musiano podnieść się w górę o 12 metrów. Chciano dopiero ztamtąd spuścić się do źródła. Lecz przekonano się, że tama do niczego nie doprowadzi. Sklepienie chodnika Kloski runęło, i wskutek działaniu wody, coraz bardziej opadały górne części na dół. Powstały w ten sposób zwaliska bardzo daleko sięgające w górę, po nad któremi płynęła woda. Gdy posunięto się nawet o metrów 40 do góry, to jeszcze ją tam znaleziono, ujęto w rynny i puszczono wyższym chodnikiem.

Stan taki trwał do roku 1872. Pewnego dnia robotnicy usłyszeli jakiś huk w okolicy źródła, pobiegli tam zaraz i przekonali się, że woda zupełnie ciec przestała. Musiała nastąpić jakaś katastrofa podziemna, skutkiem której ujście zostało zatamowanem.

Z całej dawniejszej katastrofy pozostało tylko małe źródełko w chodniku równoległym do kloski, które chciano zatamować, lecz gdy je powstrzymano w jednem miejscu, to się zaraz pokazywało w drugiem.

Stan taki trwał aż do dnia 17. lutego br. Dnia tego, o godzinie 9tej rano, naraz, bez żadnej widzianej przyczyny, źródełko owe małe, gwałtownie bić zaczęło, wyrzucając $2^1/_2$ metra wody na minutę. Wieczorem wybuch wzmógł się do 6 metrów na minutę, piątego dnia zmniejszył się znowu na dwa i pół metra, a 10. marca wypływał już tylko jeden metr sześcienny.

Dnia 12. marca, woda nagle płynąć przestała, lecz trwało to tylko dwie godziny. Potem znów się pokazała i bije do chwili obecnej, wyrzucając nieco więcej nad metr na minutę.

Z tego wszystkiego widać najwyraźniej, że wybuch obecny jest dalszym ciągiem wybuchu z r. 1868. Lecz tym razem zarząd kopalni znajduje się w daleko lepszych warunkach wobec katastrofy, rozporządza bowiem potężnemi pompami, których siła wynosi razem 360 parowych koni.

Robót, o ile się zdaje, nie przesięwezmą żadnych i wodę usuwać będą za pomocą pomp. Stan więc obecny Wieliczki jest chronicznym i prawdopodobnie nieuleczalnym.

Po zajmującym wykładzie p. Strzelbickiego, prof. Radziszewski pokazywał kilka nowych doświadczeń z fosforescencją, która się stała ulubionym przedmiotem badań sz. profesora. Odnajduje on coraz nowe objawy tego zjawiska i towarzystwo przyrodników otrzymuje je zawsze z pierwszej ręki.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Przyznam się czytelnikom, że wcale nie wesoło, raz że to post wielki i ludzi po nakarmieniu się śledziami napada okropne pragnienie, po drugie, że klasyczne koncerta klasycznych utworów również klasycznie nudzą zwyczajnych śmiertelników lwowskich, a po trzecie, że wiadomości o zalewie Szegedynu i proces w sprawie Bommera o zabicie Przedrzymirskiego toczący się przed sądem przysięgłych bardzo deprymująco oddziaływują na wesołe usposobienie tutejszej inteligencji. Dodajmy do tego odczyty, szarugi wiosenne z zimową chlapaniną i wreszcie bardzo poważne ankiety nad tem, jakby tu Galicji napędzić centów do kieszeni, a przekonacie się, że nie mamy powodu do wesołości. Już to o te centy, to dalibóg coraz to trudniej; w sklepach pustki, po warstatach święta, żydzi przepłoszeni ustawą o lichwie i aresztowaniami wiedeńskiemi nawet już na słowo honoru obywatelskie pożyczać nie chcą, a na dobitkę wszystkiego c. k. loterja liczbowa jak najgorzej dopisuje... Mamy więc formalny post i umartwienie ciała i duszy podobne do umartwień chrześcjan w pierwszych wiekach chrześcjaństwa, z tą tylko różnicą, że nie chodzimy we włosiennicach, bo właśnie ten materjał koński odkąd go zaczęto używać na kity do czapek wojskowych nadto podrożał, i nie jesteśmy w stanie co do cen jego z c. k. intendenturą rywalizować. Doprawdy, mówiąc słowami gorzkich żali, żal duszę ściska, serce boleść czuje, kiedy się patrzy na tych wychudzonych lwowian szwędających się gromadami po ulicach, jak to wszystko powłócząc nogami ziewa publicznie, i ogląda się na wsze strony, gdzie swoją osobę zaprowadzić! Mocny Boże, co to się zrobiło z tymi ludzmi z r. 1848 lub przed 1870tym. Życie wymarło, oko pobladło, ręce schowały się do kieszeni, a buzia, ta wymowna buzia, na zgromadzeniach publicznych rzucająca pioruny patrjotyczne, zeszła do funkcji przeżuwania frytur zaprawionych obiadów. Panienki tylko, zawsze ładne, zawsze figlarne, strzelają jak dawniej oczyma, choć już bez dawniejszej werwy, kiedy to my byliśmy młodzi. Nie dla braku uczucia, broń Boże, ale dlatego, że te nowomodne suknie podczas błota odciągają ich uwagę i sentymenta od mężczyzn, którzy jak wiadomo w sercu piękności nie stoją wyżej od sukien.

Kiedy warszawscy kronikarze piszą, iż na koncertach i przedstawieniach teatralnych temperatura u nich dochodzi 25go Reaumura, ma się rozumieć nie entuzjazmu, ale fizycznej ciepłoty,— to u nas mimo zapowiedzi plakatów, że śpiewać będą panie Ga, Pa, Chry, Pka, Dy, So, Nan, Se, i t. p. nieznane znakomitości instrumentalne i wokalne, termometr nie pokazuje więcej nad 0, to jest między zamarzaniem a topnięciem lodu. W teatrze naprzykład na drugiem przedstawieniu dramatu Litwosa „Na jedną kartę" mogłaby c. k. artylerja polowa przez cały wieczór kartaczować ze sceny publiczność, a z pewnością nikogoby nie trafiła.

Już to ta Warszawa jest szczęśliwem miastem! Ruble im pospadały, srebra zdaje się, że żyjące teraz pokolenie wcale nie widziało, — nawet tego wyrazu *ankieta* nie znają, a codzień czytamy, że zakładają jakieś fabryki i w mieście i na prowincji, dawniej istniejące rozszerzają, i sypią pieniędzmi jak piaskiem. Wszystkie banki pełne są gotówki, stopa procentowa się zniża, chcą kupić obraz Matejki, chcą budować muzeum miejskie i żyją,—ale jak żyją.... A u nas, srebra już nie brakuje, mimo to ruchu żadnego. Tylko ankiety i ankiety zbożowe, rybne, naftowe, kredytowe, drobno przemysłowe, aby coś gdzieś rozbudzić, rozruszać, wydobyć — a wszystko tak ciężko idzie jak z kamienia. Kiedy tam medytują co robić z pieniędzmi, to u nas już od dawnego czasu,— zkąd dostać pieniędzy?—A niby to mamy i samorząd, i konstytucję, i wolność słowa pisanego i ustnego — zdaje się, że wszystko co potrzeba ludziom do zdobycia sobie raju na ziemi,— swoją drogą nie mamy pieniędzy... Zkąd oni tam te ruble biorą, to doprawdy jest pytaniem kwalifikującem się do konkursowej rozprawy. Bo i do urzędów tych Polaków nie dopuszczają, każdy kieliszek wódki oddzielnie podatkiem okładają, gnębią, prześladują, a biedactwo to grzebie się, kieszenie ładuje i kpi sobie z Moskali... Nam wszyscy sprzyjają, lojalność naszą pod niebiosa wychwalają — i jakoś bieda! Otóż z tego wszystkiego widać, co i ekonomja polityczna naucza, że oni muszą produktywniej od nas pracować, i dla tego wartoby, aby ktoś ze statystów naszych zaglądnął bliżej w tę sprawę i zrobił porównanie tej pracy obydwóch części dawnej Polski, a może wynalazłby takie zwierciadło, w którem moglibyśmy się przejrzeć na wskróś i zobaczyć taką publiczność, która daje guldeny, a nie narzekania.

Wracając do brukowych spraw lwowskich, musimy zaznaczyć, że miasteczko nasze nie ma tej satysfakcji co Przemyśl, Gorlice i inne prowincjonalne miasta, żeby który z posłów naszych raczył wygadać się i pochwalić z tego, jak on to bronił wielkiej polityki w rejchsracie wiedeńskim... Człowiek by sobie pofolgował przy interpelacji np. posła hr. Gołuchowskiego i powetował dzisiejsze nudy. Przypominamy sobie, że przy wyborach tego posła, ktoś zrobił zarzut temu szanownemu kandydatowi, że nie dosłyszy i że zwolennicy jego wyboru stanowczo temu zaprzeczali. Otóż jak się przekonywamy teraz, musi w tem coś być, bo szanowny poseł usłyszabły przecie życzenia wyborców, no i coś nam powiedział jakto tam rzeczy szły w Wiedniu podczas jego posłowania...

Od kilku dni, całą uwagę publiczną, jak wspomnieliśmy na początku, zajmuje głośna sprawa Bommera, tocząca się przed sądem przysięgłych. Sala każdego dnia zapełniona ciekawymi, a i pań czasem i młodych panienek nie brakuje, mimo, że często zachodzą pytania i odpowiedzi tak drażliwej natury ze względu na skromność kobiecą, że przewodniczący i odpowiadający muszą je ciszej wymawiać... Damy lwowskie, pokazuje się, już dosyć postąpiły w emancypacji, skoro ich to nie żenuje. Nieszczęśliwy Bommer, ofiara zazdrości małżeńskiej, wygląda jak człowiek przez kilka lat znękany rozpaczą, dla którego zabójstwo uwodziciela swej żony jest obojętną rzeczą. Straszna to rzecz uczciwego męża i ojca, być doprowadzonym przez lekkomyślność kobiety i bezwstyd młodego don Juana, do tej ostateczności, że musiał posunąć się do zbrodni i odkryć przed całym światem ohydę moralnego brudu rodzinnego życia. Dotąd ogólna sympatja i zeznania świadków coraz bardziej uwydatniają w nim charakter uczciwego człowieka, zranionego boleśnie w tem, co jest najświętszego dla ojca i męża. A jakkolwiek przewidzieć nie możemy werdyktu przysięgłych, to fakt sam, i to obnażenie skandalicznej strony demoralizacji, musi oddziałać grozą na podobnie lekkomyślne zachcianki burzycieli spokoju rodzinnnego, dla których tego rodzaju miłośne igraszki zdają się być czynem junakierji, szydzącej ze sprawiedliwości boskiej i ludzkiej.

Strach przed dżumą już ustał, trwożliwi o swoje życie odetchnęli pełną piersią, lecz nowy smutek ogarnął litościwemi sercami społeczeństwa naszego na wiadomość o zalaniu Szegedyna... Od czasu zasypania Pompei i Herkulanum nie było podobno w dziejach ludzkich smutniejszej katastrofy nad tą, która w parę godzin, zniszczyła prawie ze szczętem kwitnące i handlowe miasto z ludnością siedmdziesięcio-tysięczną. Ile ofiar śmierć znalazło w nurtach swawolnej Cissy, dotąd niewiadomo, lecz rachują je na tysiące, prócz materjalnych strat wynoszących dziesiątki miljonów. Cała Europa i ludność tutejsza żywo wzięły do serca tę klęskę sąsiadów naszych z za Karpat. Urządzono publiczne składki, Dyrekcja teatru dała na korzyść tych nieszczęśliwych przedstawienie w teatrze, 24. marca ma się odbyć koncert publiczny pod protektoratem JE. Marji Potockiej i księżnej Turn-Taxis, słowem poruszyła się ofiarność publiczna, a choć i nam nie rozkosznie tutaj, to jednak co kto może, daje, aby pokazać, że dawne cnoty polskie ratowania potrzebujących jeszcze u nas nie wygasły.

W końcu ośmielamy się polecić szczodrobliwości publicznej sprawę mniej nagłą, lecz dla nas bardzo ważną, to jest fundacją bursy dla kandydatów na ludowych nauczycieli pod imieniem ks. Leona Sapiehy. Komitet zarządził odczyty, z których pierwszy jakkolwiek treścią swoją bardzo zajmujący, odbył się przy bardzo małej liczbie słuchaczy. A szkoda, gdyż p Władysław Bełza odczytał zgrabnie i ze znajomością rzeczy napisaną rozprawę „o legenendowych czasach Polski". Drugi odczyt będzie miał dziś właśnie p. Juljan Ochorowicz, docent tutejszego Uniwersytetu: „o ważnych ulepszeniach dokonanych przez siebie w telefonach"; na trzecim usłyszą czytelnicy żywą humoreskę autora Kłopotów starego komendanta pod napisem „Rządy dziadzi i babci," a wreszcie pan Józef Tretiak, professor gimnazjum tutejszego, wygłosi rzecz „O wpływie Bajrona na literaturę polską." — Jeżeli nie treść tych prelekcji, to sam cel przyjścia z pomocą najuboższej młodzieży u nas, powinnyby zachęcić do licznego zebrania się słuchaczy, zwłaszcza, że i ceny są dostępne i wybór przedmiotu urozmaicony, gdzie i coś się nauczyć i szczerze uśmiać się będzie można.

ZE ŚWIATA MUZYCZNEGO.

W ostatnich dniach kilkunastu koncerta posypały się jak z rogu obfitości. Dotychczas produkowały się same siły miejscowe, których wcale nie brak w naszem mieście i mimo to publiczność, goniąca

zwykle za nowościami nie pozostała obojętną i licznem uczęszczaniem na te produkcje dowiodła, że kocha muzykę i interesuje się żywo jej rozwojem. Powinno to być zachętą dla naszych artystów i amatorów do sumiennej pracy, powinno wyrodzić szlachetną emulację, bez której nie ma postępu.

Z powodu mnogości materjału, nie jesteśmy w możności podać dokładnego sprawozdania z odbytych koncertów z uszczerbkiem innych rubryk „*Tygodnia*,“ ograniczymy się więc na treściwej ocenie, nie omieszkując jednak podnieść zalety, a zarazem nie pomijając stron ujemnych.

Najwięcej ze wszystkich zajęcia wzbudził koncert panny Konopackiej, utalentowanej, młodej pianistki, której zdolności pod umiejętnem kierownictwem pana Marka w olbrzymi sposób niemal z każdym dniem się rozwijają. Program koncertu był bardzo miły i pełen smaku. Utwory Chopina, Liszta, Scarlattiego przeplatane sympatycznym śpiewem pani S. wypełniły wieczór. Koncertantka jest artystką myślącą, umie dobrze pojąć ducha egzekwowanych utworów, śpiew prowadzi wybornie, technikę ma już do wysokiego stopnia wyrobioną, a co najważniejsze, uderzenie jej jest miękkie i silne zarazem. Najlepiej wykonała p. K. słynny, a przetrudny utwór Liszta „Venecia à Neapoli,“ za który nie mało zebrała oklasków. Pani S. posiada głos sympatyczny, czysty, ale nie dosyć silny: piosnki śpiewa bardzo dobrze, pozwolimy sobie jednak powiedzieć, że wybór wielkiej arji z „Żydówki“ nie był zbyt fortunnym. Natura zakreśla głosom pewne granice, po za które chodzić niebezpiecznie. Zasadę tę zna wybornie p. Marek, który był artystycznym kierownikiem koncertu i powinien się w ułożeniu programu do niej zastosować... Drugi wieczór towarzystwa muzycznego, w którym oprócz znanych sił towarzystwa brał udział p. D., violonczelista, wypadł pod każdym względem wzorowo, jak w ogóle wszystkie koncerta urządzane przez p. Mikulego. Już to największy nieprzyjaciel p. Mikulego (a nie brak ich wcale, bo muzycy więcej niż wszyscy inni artyści zasługują na uwagę „*irritabile genus*“) przyznać mu musi, że pod względem delikatnego, prawdziwie artystycznego smaku nie lada kto mu wyrówna, a smak ten wieje z każdego ułożonego programu. Na wieczorku, o którym mówimy, z grzeczności wyznaczono główne pole do popisu gościowi p. D., który odegrał kilka utworów Bethoveenna, Rövera i innych kompozytorów. Ton śpiewny i wielka biegłość cechują grę p. D., za którą doborowa publiczność nie szczędziła mu zasłużonych oklasków. Duet z oratorjum Haydna „Cztery pory roku“ odśpiewany przez pannę Gub.. i pannę Myszugę przyjęto z prawdziwym zapałem. Publiczność zna oba te nazwiska z jak najlepszej strony: panna G. niejednokrotnie już produkowała się na estradzie koncertowej, i nie mogła się nigdy oskarżać na brak oklasków, pan M. pozyskał sobie ogólne uznanie, jako śpiewak rozporządzający wybornym tenorowym głosem, pełnym metalu, rozległym i silnym. P. M. posiada wszelkie warunki na niepośledniego śpiewaka operowego i na scenie musiałby zrobić karjerę. Nie jesteśmy pochopni w doradzaniu nikomu artystycznego zawodu, owszem uważamy za zbrodnię wobec społeczeństwa, jeżeli ktoś niepowołany puszcza się na rzekomo lekki chléb, zamiast pożytecznie w innym zawodzie pracować, ale kto ma prawdziwy talent i warunki dane od natury, ten powinien z nich korzystać i dać im jak najszersze pole działalności. Zwracamy uwagę dyrekcji opery na p. M.: są u nas głosy, są talenta, trzeba je tylko poprzeć, zachęcić, a obejdzie się bez włoskich popsutych katarynek.

W wysokim stopniu oryginalnym był wokalny koncert p. Ludmiły Mikorskiej ze współudziałem uczennic pana Signio i orkiestry wojskowej pod dyrekcją p. Hapfa. Trudno sobie wyobrazić program dziwaczniej ułożony a dziwaczniej jeszcze egzekwowany. Wszystko składało się na to, aby koncertowi temu nadać cechę jakiejś prywatnej produkcji. Koncertantka widocznie pracowała wiele nad sobą, lecz się przeuczyła; głos jej już nie świeży a przytem wskutek zanadto wielkiej pewności w atakowaniu nót, często dyssonuje. Nie możemy pojąć, zkąd p. M. przyszło na myśl poprawiać Meyerbeera? To nie żart. Pani M. śpiewając arję z „Afrykanki“ po każdym niemal takcie, dodawała jakąś koloraturę własnej kompozycji, ku wielkiemu zdziwieniu publiczności, i akompaniującego p. Signio, który jak mógł akordował. Duety z panią S. wypadły daleko lepiej niż sola. Na zakończenie odśpiewała pani M. z akompaniamentem orkiestry walec własnej kompozycji, nie zbyt oryginalny, ale dosyć zręcznie ułożony. O ile poznać mogliśmy, pani M. może być dobrą nauczycielką śpiewu, jest muzykalną, uczyła się nie mało, niech tylko nie każe uczennicom uzupełniać Mayerbeera.

Koncert na dochód Czytelni akademickiej połączony z przedstawieniem scenicznem, składał się z produkcji chóru damskiego, „Ave Maria“ Gounoda i rapsodji Liszta, odegranej na fortepianie przez młodego wirtuoza p. Doulliet. Ustalona dobra reputacja osób biorących udział w koncercie, mówi sama za sobą. Wszystkie numera przyjmowała publiczność oznakami żywego zadowolenia.

O wieczorku muzykalnym w kasynie mieszczańskiem i o pięknym koncercie chóru męskiego Towa- stwa muzycznego, na którym wokonano po raz pierwszy „Sagę o Fritjofie“ Brucha, pomówimy w przyszłym numerze. *B. Cz.*

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Byron L.* Don Żuan. Pieśń 2ga, 3cia, 4-ta. (Haida) przekład Wiktora z Baworowa 8ka, str. 118, Tarnopol 1879. Cena 1 zł. 50 ct.

— *Manteuffel G. Baron.* Inflanty Polskie poprzedzone krótkim rzutem oka na siedmiowiekową przeszłość całych Inflant, przedmowę napisał J. I. Kraszewski. in 4to. str. 168. z ilustracjami i mapami. Cena 19 zł. 50 ct.

— *Pamiętniki* Michała Zalewskiego, Wojskiego Wielkiego księstwa Litewskiego, posła na sejm czteroletni, 8ka, str. 376. Poznań 1879. Cena 2 zł. 93 ct.

— *Rocznik towarzystwa* historyczno-literackiego w Paryżu Rok 1873—1878, 2 tomy 8ka, str. 419, 458. Poznań 1878. Cena 15. zł. 60 ct.

— *Seweryn Gałęzowski.* Eustachy Januszkiewicz. Karol Ruprecht. Nekrologi, 8ka, str. 57. Poznań 1879. 1 zł. 95 ct.

— *Słowacki Juljusz.* Żmija, romans-poetyczny z podań ukraińskich, w 6 pieśniach (Bibl. Mrówki tom 74), 16ka, str. 72. Lwów 1879. Cena 20 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Kosmos.* Czasopismo polskiego towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, zeszyt I. 1879 r. zawiera: Astrologja u starych i nowszych ludów, przez Dra Wierzbickiego. O śnieci moharowej i kukurydzowej przez Dra Szczęsnego Kudelkę. Kronika naukowa przez E. Ł. Dunikowskiego i P. Giermańskiego. Wiadomości bieżące.

*** *Ateneum,* pismo naukowe i literackie w zeszycie za Marzec 1879 r. zawiera: Polska wobec wybuchu wojen Husyckich przez Stanisława Smolkę (dok.), Krzyż nad otchłanią, studjum kobiece przez Deotymę (c. g.). Drobna szlachta w królestwie przez Władysława Smoleńskiego (c. d.) O wychowaniu młodzieży przez R. A. Ze sfery plastyki. Wojciech hr. Dzieduszycki przez Piotra Chmielowskiego. Z dziejów języka polskiego przez Ad. Ant. Kryńskiego (dok.) Bitwa pod Grunwaldem Jana Matejki przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. Krytyka. a) Biblioteka Filozoficzna przez Henryka Goldberga. b) Ruiny na Ostrowie jeziora Lednicy, studjum Marjana Sokołowskiego, przez T. Ziemięckiego. Od Redakcji. Kronika miesięczna.

*** *Biblioteka Warszawska.* Pismo poświęcone naukom, sztukom i przemysłowi w zeszycie za marzec 1879 r. zawiera: O potrzebie poprawy kanału Ogińskiego, przez Alberta Szulca. Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu przez K. Wł. Wójcickiego. Syn Margrafa, tragedja z X wieku przez Bronisława Grzybowskiego. Bitwa pod Grunwaldem, przez K. Wł. Wójcickiego. Kronika paryzka. Podróże i odkrycia, przez Antoniego Wałeckiego. Korespondencja do Redakcji, przez A. R. Przegląd piśmiennictwa:

a) Renata Kartezjusza rozprawa o metodzie, przetłómaczył W. Dobrzycki, przez F. I.

b) Dwie mogiły, poemat Stanisława Grudzińskiego.

c) Kiejstut, tragedja w 5 aktach Adam Asnyka, przez Kazimierza Kaszewskiego. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne.

*** Znany z talentu artysta malarz Tytus Maleszewski wydał w kroju arkuszowym, wizerunek słynnego kaznodziei Piotra Sgargi, podług dawnego obrazu. Wizerunek ten litografowany jest starannie przez Władysława Walkiewicza.

*** Bibljoteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej przygotowuje nowe wydanie Fausta Góthego obu części razem. Przekładem zajmuje się p. Feliks Jezierski, tłómacz *Złotej legendy, i Iljady Homera.* Będzie to przekład wzorowy, jak wszystkie dotąd przez tego pisarza wykonane.

*** W Warszawie powstała myśl wystawienia pomnika grobowego w kościele św. Krzyża, dla genialnego muzyka, a rodaka naszego Fryderyka Szopena, którego serce jest zachowane w pomienionym kościele. W tym celu dyrektor Warszawskiego Towarzystwa muzycznego, Władysław Żeleński, zamierza w marcu rb. urządzić wielką uroczystość muzyczną, z której zebrany dochód posłużyłby do urzeczywistnienia tego zamiaru.

*** Teofil Lenartowicz pracuje nad płaskorzeźbą, mającą przedstawić apoteozę Mikołaja Kopernika. Rzeźba ta wysoka na 80 a szeroka na 60 centimetrów zostanie ofiarowaną do muzeum Kopernika w Rzymie, którego otwarciem zajmuje się gorliwie dr. Artur Wołyński.

*** Cenniejsze prace pisarskie naszych badaczy starożytności przedhistorycznych, zaczęły się ukazywać zbiorowo w przekładzie i streszczeniu niemieckiem, na sposób wychodzących w Warszawie *Wiadomości Archeologicznych.* Wydawnictwo niemieckie, o którem tu mowa, wychodzi w Jenie, pod redakcją A. Kohna i Dr. Melisa, i ma tytuł: *Materialen zur Vorgeschichte der Meschen im östlichen Europa.* Pięknie wydany pierwszy tom tego wydawnictwa, jest przważnie streszczeniem polskich prac dotyczących odkryć i wykopalisk archeologicznych na obszarze między Bałtykiem, Karpatami i Dnieprem. Drzeworyty i litografie są z dzieł polskich starannie naśladowane.

*** Ogłoszone zostało sprawozdanie bibljoteki polskiej w Rumunji za r. 1878. Mimo niepokojów wojennych, bibljoteka w roku 1878 wzrosła tak w książkach, jak i w funduszach. Obecnie obejmuje ona 1255 numerów a 2406 tomów. W roku 1878 otrzymała w darze 136 dzieł.

Fundusz żelazny, który wynosił z końcem roku 2050 fr, obecnie urósł do 3200 fr. Celem tego funduszu jest, aby kiedyś kupić dom, w którym by się mieściła bibljoteka, czytelnia a co najważniejsza szkoła dla polskich dzieci, zostających obecnie bez nauki i wychowania w obczyźnie. Na tem miejscu należy sprostować mylne wyobrażenie o instytucji tej, zwłaszcza w kraju rozpowszechnione. Wielu mniema, że bibljoteka polska w Rumunji jest zwykłą czytelnią, zawiązana przez kilkunastu członków, ku własnej przyjemności umysłowej. Bibljoteka polska w Rumunji atoli, pragnie stać się instytucją publiczną dla Polaków rozrzuconych po Rumunji i wzięła sobie za wzór choć w skromnych granicach stać się tem, czem jest bibljoteka Ossolińskich dla Galicji, a Raczyńskich dla Poznańskiego; co więcej, pragnęłaby być ogniskiem moralnego życia rodaków na Wschodzie. Adres w sprawach bibljoteki: „Dr. Łukaszewski à Jassi en Roumainie, poste restante.“

*** Profesor Fr. Kurszot wydał gramatykę litewską, z zarysem topografji języka litewskiego i studium o ludowej poezji Litwinów, oraz nutami melodji litewskich *Dajnos.* Nie dorównywując być może, Szlajcherowi potęgą dedukcji porównawczo-filologicznych, Kurszot przewyższa go specjalnością, albowiem dokładnie zbadał język litewski. Dzieło jego, zyskało wielkie uznanie w sferach rzeczoznawców. Tytuł książki: *Grammatik der littauischen Sprache, Fr. Kurszot, Halle.*

Nekrologja.

† W Sobotę d. 15. b. m, umarł we Lwowie, weteran wojsk polskich, Ambroży Syroczyński, któ-

rego uważano za żywą tradycję dawno ubiegłych czasów; jeden z pierwszych uczniów liceum Krzemienieckiego, służbę wojskową rozpoczął za księstwa Warszawskiego.

† W Petersburgu umarł jeszcze w dniu 26. Lutego *Edward Kotłubaj*, inżynier kolei żelaznej, licząc lat 56. Był on autorem dzieł: „Życie Janusza Radziwiłła" i „Galerja nieświeżska portretów Radziwiłłowskich".

LEKARSTWO NA ZUCHÓW.

Opowiadanie historyczne.

Brawura była i jest zawsze dziedzicznym rysem charakteru Francuzów; w początkach przeciež XIX stulecia, pod wpływem zapału wywołanego tryumfami zwycięzcy z pod Arcole, doszła ona do zenitu.

Jeden z takich zuchów, nazwiskiem Edward Dumesnil, przebywał chwilowo w garnizonie małego miasteczka Cosne.

Burzliwego i drażliwego usposobienia, o wybujałej wyobraźni, młody oficer, w cichem garnizonowem nawet życiu, nie umiał rozstać się z pistoletem lub szpadą.

Pojedynki stanowiły nieomal wyłączne jego zajęcie.

Jedno zwrócone nań przydłuższe spojrzenie, jeden wyraz zniecierpliwienia, niebacznie rzucony w jego obecności, dostatecznym był powodem do wyzwania nieostrożnego przeciwnika.

Z obawy przed młodym zawadjakiem, nikt nie śmiał pokazać się na publicznej przechadce, a kawiarnia „Pod tysiącem kolumn", całemi dniami pustkami świeciła.

W pobliżu Cosne znajdowała się majętność hrabiego d'Arquian, jednego z nielicznej garstki starej szlachty, która umiała pogodzić się z „ówczesnym stanem rzeczy".

Hrabia przebywał naprzemian w swoich dobrach lub też w pałacu, jaki posiadał w samem miasteczku.

Spokój okolicy, w której przemieszkiwał, obchodził go więcej może niż kogokolwiek innego pragnąc przeto położyć koniec wybrykom młodego szaleńca, wystosował do niego następujące pismo:

Panie!

„Skandale i awantury jakie pan wyprawiasz w naszem mieście, a których dłużej ścierpieć niepodobna, doszły do mojej wiadomości. Żołnierz, co w piętnastym roku życia, walczył przy boku swego ojca w bitwie pod Fontenoy, nie ulęknie się przechwałek podsycanych kilku kieliszkami szampana, ani też brawury czerpanej z wazy ponczu. Czekam na pana w mojem mieszkaniu, aby ułożyć warunki pojedynku, który mam nadzieję, będzie dla niego ostatnim.

Hrabia Bechon d'Arquian.

Otrzymawszy tak obraźliwe wyzwanie, Edward Dumesnil skoczył jak młode lwiątko, po raz pierwszy znienacka kulą draśnięte, i wykrzyknął zaperzony:

— Jakto! wyzwanie dla mnie!... To coś nowego! człowiek ten może już śmiało testament napisać; przynajmniej nikt za złe mi nie weźmie, skoro zabiję go na miejscu po otrzymaniu tak zuchwałego listu!

Nie tracąc czasu, przypasał pałasz i wypytawszy się o mieszkanie hrabiego d'Arquian, pobiegł w wskazanym kierunku.

Jeszcze dziesięć minut nie upłynęło, kiedy już zadzwonił gwałtownie stanąwszy przed pałacową kratą.

Stary służący w liberji otworzył mu bramę.

— Zamelduj swemu panu porucznika Edwarda Dumesnil.

— Ah! ah! to pan jesteś! właśnie czekaliśmy na pana — odparł ironicznie stary sługa. — Proszę wejść, panie oficerze.

Wprowadziwszy następnie gościa do olbrzymiego salonu oświetlonego jednym tylko kandelabrem o dwu świecach, skłonił się z powagą i rzekł odchodząc:

— Idę uwiadomić pana hrabiego.

Salon, w którym znajdował się w tej chwili Edward Dumesnil, była to wielka komnata, jakie dziś już tylko gdzie niegdzie na prowincji zobaczyć można. Staroświeckie meble, krzesła, fotele i kanapy obite białemi pokrowcami, pod któremi nie trudno było dostrzedz drogocenne gobeliny, aż nadto wiele wolnego zostawiały miejsca; po lewej stronie wyróżniał się jakby do innego należący garnituru przepyszny stolik do kart, naprzeciw zaś dopełniał umeblowanie parawan chiński, do połowy tylko rozsunięty.

Porucznik Dumesnil nie zdążył jeszcze objąć okiem całego otaczającego go przepychu, kiedy na progu salonu ukazał się hrabia d'Arquian.

Pomimo podeszłego wieku, wyniosła postać hrabiego zachowała całą dzielność i męstwo charakteru, jakie były wybitną cechą ludzi owej epoki.

Porucznik przez chwilę był jakby oszołomiony na widok starca tak pełnego rycerskiej dystynkcji, niebawem przecież odzyskał przytomność.

— Otrzymałem — rzekł — panie hrabio, pańskie wyzwanie. Czy wolno mi wiedzieć, co mi zjednało ten wysoki zaszczyt?

— Przedwczoraj, panie poruczniku, zraniłeś pan w pojedynku, jednego z moich krewnych. Przy rozstaniu się, rzekł on: „Zamawiam sobie odwet w krótkim czasie". Że jednak rana otrzymana w prawą rękę, nie dozwala mu tak prędko jakby pragnął odpłacić panu pięknem za nadobne, ja więc uważałem za mój obowiązek, wyręczyć go w tym względzie.

— Panie hrabio, w pańskim wieku?...

— Pod tym względem Corneille za mnie odpowie:
Gdy o spełnienie powinności chodzi,
Wiek chociaż późny walce nie przeszkodzi.

Ale nie traćmy czasu na próżne słowa; zajmijmy się raczej bezzwłocznie naszą sprawą.

— Panie hrabio — odpowiedział na wpół drżąco porucznik — w obec tego co widzę, gotów jestem zgodzić się na wszelkie możliwe warunki.

— Przedewszystkiem — mówił dalej hrabia, nie uważając na przerwę — idzie mnie o niedopuszczenie najmniejszej zwłoki.

— Przyjęto; w czerwcu nocy prawie jakby nie było. Zatem jutro rano, o godzinie szóstej, albo nawet o piątej, jeśli pan sobie życzysz.

— Jutro, nie, panie, nie jutro.

— Kiedyż więc?

— Natychmiast.

— Natychmiast?... jakto! bić się wieczorem?

— Miałżebyś się pan obawiać wieczorem, panie poruczniku.

— Panie hrabio! nigdy i niczego się nie obawiam! Chodźmy na dziedziniec, albo do ogrodu pańskiego.

— Nie pójdziemy ani na dziedziniec ani do ogrodu.

— Gdzież więc?

— Będziemy się tu bić w tym tu salonie.

— W salonie się bić?

— Czy się pan boisz, panie poruczniku?

— Powtarzam panu, że się nigdy nie boję!

— Zaraz się o tem przekonamy,—rzekł hrabia. — Jako zastępującemu miejsce obrażonego, mnie przysługa prawo wyboru broni.

— Słuszna uwaga.

— Wybieram zatem pistolet. Ot, na kominku leżą dwa dwururne; obok nich znajdują się kule i proch; nabij jeden z nich, ja nabiję drugi.

Po spełnieniu tej czynności w najgłębszem milczeniu, hrabia wyjął srebrną monetę.

— Los niech zdecyduje kto pierwszy ma strzelać... Orzełek czy litery?

I rzucił pieniądz w górę.

— Orzełek! — jednocześnie zawołał porucznik.

Hrabia podniósł pieniądz i pokazał go Edwardowi Dumesnil.

— Pan masz pierwszy strzał; chciej pan zająć miejsce w tamtym rogu salonu; ja, jak pan widzisz, stoję w przeciwnym rogu.

— Pojedynek bez świadków!... Kto hasło wyda?

— Mój kamerdyner, Paweł, wynosząc ten świecznik... Zaraz po jego wyjściu strzelisz pan.

— Cóż znowu! panie hrabio, pojedynkować się bez światła, po omacku?

— Szanse równe są dla nas obydwóch; jeśli mnie pan nie zabijesz, ja z kolei strzelać będę. Powiedziałeś pan przed chwilą, że przystajesz na wszelkie warunki... Czy pan się boisz, panie poruczniku?

— Powiedziałem panu, że niczego się nie boję! Raz już to trzeba skończyć!

Hrabia zadzwonił i napowrót zajął swe miejsce.

Kamerdyner ukazał się w drzwiach.

— Wyniesiesz, Pawle, ten świecznik i powrócisz z nim natychmiast, skoro tylko usłyszysz wystrzał.

Paweł oddalił się ze świecznikiem. Po maleńkiej chwili Edward Dumesnil wystrzelił.

Tuż po wystrzale zjawił się Paweł.

— Chybiłeś pan — rzekł hrabia — zobaczymy teraz gdzie jest kula.

Obejrzano plac walki i znaleziono, że kula uwięzła w ścianie, o pięć centymetrów po nad głową hrabiego.

— Na mnie kolej, panie poruczniku.

Obaj przeciwnicy powrócili na swe miejsca.

— Wyjdź Pawle i powróć zaraz, skoro tylko...

— Rozumiem, panie hrabio.

Kamerdyner wyszedł jak poprzednio i salon znowu pogrążył się w ciemnościach. Hrabia d'Arquian jednak, zamiast wystrzelić zaraz, jak to uczynił przed chwilą porucznik, pozostał około dwóch minut nieruchomy, następnie wydobył z kieszeni pudełko z zapałkami, potarł z nich jedną i zapalił maleńką świeczkę woskową.

O cudzie! porucznik Edmund Dumesnil ulotnił się!

— Nie zabiłem go przecież! Gdzie się pan podziałeś u licha, panie poruczniku?

Porucznik Edward Dumesnil był.... pod stolikiem do kart!!!...

Podniósł się nagle i zawołał:

— Panie hrabio, pojedynkowałem się z pięćdziesiąt razy, w biały dzień, w obec świadków... ale oryginalny pomysł walczenia po ciemku, nabawił mnie takiego strachu, jakiego nigdy w życiu nie doznałem, nawet wśród gradu kul i bomb... straciłem przytomność i tu, u nóg pańskich, błagam, nie gubmnie, rozgłaszając...

— Powstań pan, panie poruczniku, przyrzekam panu najściślejszą tajemnicę, ale pod warunkiem zastrzeżonym w mojem wyzwaniu, że to będzie ostatni pański pojedynek.

— Daję na to panu hrabiemu słowo honoru.

— Przyjmuję i ufam że je pan dotrzymasz. A teraz uspokój się pan. Mnie samemu również zależy na zachowaniu tajemnicy; chciałem tylko dać panu lekcję, pokazać, że prawdziwe męstwo, prawdziwa odwaga, zużytkowaną być winna dla obrony kraju, dla obrony strzechy ojczystej; bo jeśli pan szukałeś schronienia przed ręką mściciela pod tym stolikiem, ja również, aby uniknąć ślepej kuli, skryłem się po za owym parawanem... grubo wywatowanym.

Wydeklamowawszy z całą możliwą powagą powyższe słowa, hrabia zdmuchnął świeczkę i wystrzelił z pistoletu do kominka.

W tejże chwili wszedł do salonu Paweł ze świecznikiem.

Hrabia d'Arquian przemówił doń majestatycznie:

— Przeprowadzisz, Pawle, pana porucznika, a jutro powiesz wszystkim, że po nastąpionem spotkaniu dwóch odważnych ludzi, spokój w naszem ukochanem miasteczku, na zawsze zapewnionym został.

Edward Dumesnil, uścisnąwszy w milczeniu rękę hrabiego d'Arquian, odszedł ze świecącym mu kamerdynerem.

Hrabia wziął drugi zapalony świecznik z kominka, wrócił do swojej sypialni, mówiąc z zadowoleniem:

— Mogę rzeknę z nieboszczykiem Tytusem powinszować sobie: „Nie zmarnowałem dnia dzisiejszego."

Henryk Dupin.

Od Redakcji.

WPan K. G. w Nowym Sączu. Będzie już wkrótce drukowane.

WPan S. M. w Rohatynie. W b. r. żadnych przekładów nie będziemy potrzebowali, mamy bowiem zapasy obfite. Co do wymienionego dzieła Dumasa, tobyśmy go sobie wcale nie życzyli, właszcza że jest ono już tłomaczone.

Treść Nr. 8.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.